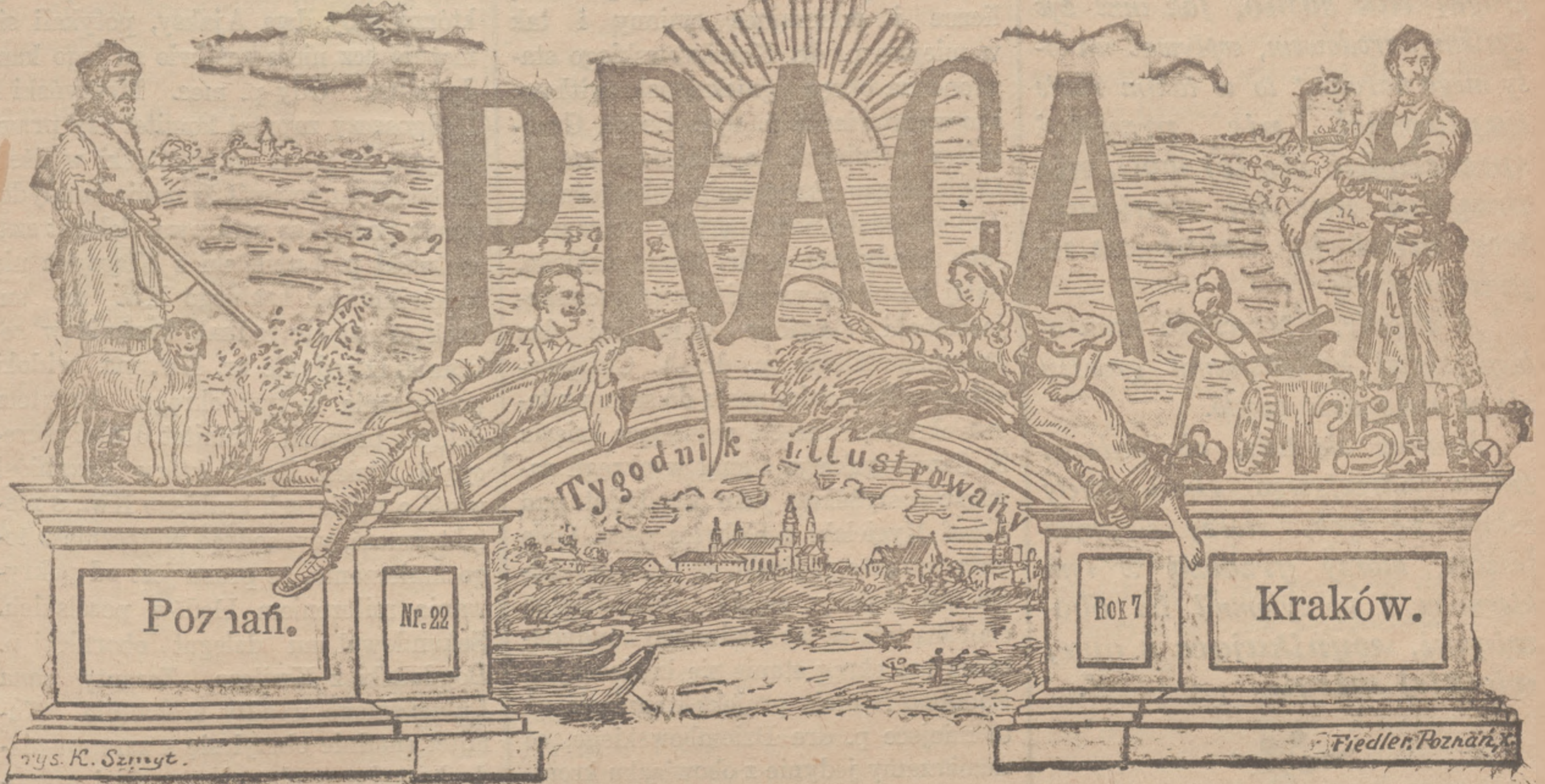
Nr. 22 Poznań, dnia 31 maja 1903.



Idźcie i nauczajcie wszystkie narody!

Za kilka godzin obwieszczą nam znów dzwony świętą rocznicę pamiętnej owej chwili, w której to Duch święty zstąpił na apostołów a zarazem daną im została misya, aby szli w świat i nauczali wszystkie narody. Równocześnie otrzymali zdolność władania wszystkiemi językami, aby każdemu narodowi głosić mogli słowo Boże w jego własnym — **a nie w obcym języku**.

Jest to najwyraźniejszy może w nowym testamencie akt uznania różnic narodowościowych, prawdziwe **uświęcenie** praw każdego narodu do swego języka ojczystego. Po świętych apostołach spuścizna ich misyi przeszła na biskupów i kapłanów, a wraz z tą misyą także ów uświęcony wolą Bożą obowiązek szanowania wszystkich języków a tem samem i różnic narodowościowych, oraz obowiązek **głoszenia każdemu z nich słowa Bożego w jego języku.**

Obowiązek ten istnieje do dziś dzień w pełnej mierze. Kościół w późniejszych wiekach nietylko go nie zniósł, ale jeszcze pogłębił. Kto mu się sprzeciwia, kto go nie wykonuje, sprzeciwia się woli Bożej i woli Kościoła. Mniemać by należało, że wypadki takie nie zachodzą, że nie mogą zachodzić. Niestety zachodzą codziennie i to w formie wprost o pomstę do nieba wołającej.

Grzeszą przeciwko woli Bożej ci wszyscy kapłani, którzy do ludu polskiego nie chcą przemawiać w jego ojczystym języku, którzy nawet język ten usiłują wytępić wśród swych parafian polskich. Takich zaś kapłanów mamy dużo w Prusach Zachodnich, na Ślązku, na Warmii, nie mówiąc już nic o obczyźnie niemieckiej. Święte owo przykazanie, dane wraz z zesłaniem Ducha św., obejmuje atoli jeszcze inny obowiązek. Jest ono zarazem **uświęceniem praw każdego narodu do samodzielnego, swobodnego życia i bytu narodowego, którego głównym wyrazem jest właśnie możność swobodnego używania własnego języka.**

Następcy apostołów powinni więc nietylko szanować język ojczysty każdego narodu, ale zarazem także jego **prawo do życia narodowego**. Nie wystarcza tedy powiedzieć sobie w stosunku do ludu polskiego: „Szanuję przecież jego język ojczysty!“ Nie, trzeba dodać **także: „Muszę również szanować jego dążności narodowe!“** Jeżeli więc lud śląski oświadcza: Czuję się ludem polskim, bo polskim stworzył mnie Bóg — pragnę żyć jako lud polski, a jako taki mogę wybierać bez szkody dla mej narodowości tylko polskich a **nie niemieckich** posłów“, **w takim razie kapłani nie powinni mu w tem przeszkadzać, lecz tę narodową wolę jego najzupełniej uszanować i uwzględniać.**

Ci z kapłanów, którzy tego nie czynią, grzeszą więc również przeciwko misyi, jaką otrzymali i corocznie otrzymują w dniu zesłania Ducha św.

Inny jeszcze do tej misyi należy obowiązek. Naród składa się nie z jednego, lecz z **więcej stanów**. Mają one równe prawa i równe według woli Bożej i świętych słów Chrystusa **mieć powinny**. Kapłan ma nauczać nietylko wszystkie narody, ale także i **wszystkie ich stany i warstwy i wszystkie równą otaczać miłością.** Nie wolno im być kapłanami **jednego** stanu, **jednej** warstwy, **jednej kote-**

ryi społecznej. Gdy tedy jeden stan, stan społecznie według dzisiejszych pojęć ***niższy***, *powie: „pragnę mieć* ***równe*** *prawa z innymi, pragnę* ***tak samo***, *jak inni żyć życiem narodowem, wpływać na losy mego narodu,“ to w takim razie* ***kapłanowi nie przystoi sprzeciwiać się tej woli, nie przystoi mu jej zwalczać, lecz musi ją uznać za uprawnioną.***

A niestety, i przeciwko temu obowiązkowi kapłańskiemu grzeszy się u ***nas*** *dość często.*

Módlmy się tedy, aby podczas święta jutrzejszego Duch święty zstąpił na tych, którzy się mylą jeszcze, którzy ***grzeszą*** *w tym kierunku i uprzytomnił im* ***obowiązki, wynikające z owej wielkiej misyi.*** *Z.*

Lista naszych kandydatów.

Klęska eksugodowców.

Walne zeb. delegatów wielkopolskich.

Walne zebranie delegatów W. Ks. Poznańskiego,które odbyło się we wtorek dnia 26-go b. m. ustanowiło listę kandydatów naszych, tem samem kładąc kres walce partyjnej o mandaty.

Wynik zebrania z zadowoleniem przejmą żywioły postępowe. Wprawdzie radzibyśmy widzieć na liście dwóch z wykreślonych kandydatów, a natomiast wykreślić z niej dwóch innych, wszelako trzeba nam się pogodzić z faktem, że żywiołowy ruch emancypacyjny nie działał według ściśle logicznego planu, lecz jak powiedzieliśmy „na ślepo“ i pocieszyć się możemy — *zwycięstwem idei.*

Z gazet codziennych wiedzą już Czytelnicy o upadku eksugodowych i zachowawczej barwy posłów pp. dr. Z. Dziembowskiego, szamb. Cegielskiego i hrabiego Hektora Kwileckiego. Los ich z własnej woli podzielił b. poseł gostyński książę Z. Czartoryski, który nie mogąc przeboleć klęski pana Cegielskiego złożył mandat w ostatniej chwili. O niemal heroicznych wysiłkach księcia, a mianowicie o jego namiętnym liście do „Dzien. Pozn.“ celem usunięcia na bok kandydatury pana dra Skarżyńskiego i poparcia pana szamb. Cegielskiego rozpiszemy się w najbliższym numerze, gdzie będzie miejsce na pokłosie walki o mandaty.

Lista kandydatów, na których będziemy głosować dnia 16-go czerwca, wykazuje w zestawieniu z poprzednią liczne i uderzające zmiany, i tak w miejsce p. dr. Komierowskiego stawiono na okręg gnieźnieńsko-witkowsko-wągrowiecki p. dyr. Leona Grabskiego z Gniezna, na miejsce p. szamb. Cegielskiego okręg śmigielsko-kościańsko-grodzisko-nowotomyski otrzymał jako kandydata p. dr. Skarżyńskiego, dalej na okręg wrzesińsko-pleszewsko-jarociński stawiono w miejsce dra Dziembowskiego p. dr. A. Chłapowskiego z Poznania, posła do sejmu z tegoż okręgu, wreszcie w miejsce księcia Z. Czartoryskiego stanął w okręgu rawicko-gostyńskim jako kandydat pan Józef Mycielski z Kobylegopola. Obiegają wszakże pogłoski, że p. J. Mycielski jest złożony ciężką, beznadziejną chorobą tak, że wybór innego kandydata na ten okręg stanie się koniecznym. Podobno istnieje projekt wsunięcia na to miejsce p. dra Dziembowskiego, co zaznaczamy jedynie z obowiązku kronikarskiego, nie przypuszczając, aby dało się teraz jeszcze przeprowadzić jego kandydaturę.

Rzeczą gazet codziennych jest zapoznać ogół z szczegółami zebrania delegatów. My podnosimy jedynie dwa momenty charakterystyczne z zebrania, wnioski zaś przedstawione komitetowi centralnemu omówimy w następnym numerze.

Przyjaciele i zwolennicy pana Cegielskiego ostatnią zrobili próbę, by uratować jego kandydaturę od zagłady. Siedmiuset wiecowników kościańskich wystosowało w tym celu na ręce komitetu protest przeciwko wiecowi, który uznali za nielegalny. Atoli delegat kościański p. Kazimierz Chłapowski z Kopaszewa, członek izby panów przedstawił przebieg wieca tak, iż zebranie nie miało najmniejszej wątpliwości co do legalności uchwały, zapadłej tamże. Przemówienie pana Chłapowskiego zrobiło powszechnie jaknajkorzystniejsze wrażenie, świadcząc o jego bezparcyalności i trafnym na rzecz poglądzie. Jakoż zebranie przeszło do porządku obrad ponad protestami. Wiadomości zaś podanej w „Dzien. Pozn.“ i „Kur. Pozn.“ przez księcia Z. Czartoryskiego, jakoby „o kandydaturze p. dra Skarzyńskiego *nie mogło być mowy,*“ zaprzeczyły kategorycznie listy dra Białego, Matuszewskiego i Gierlińskiego a mianowicie telegram od samego dra Skarzyńskiego, który oznajmił, iż mandat przyjmie. Niefortunna przeto „odezwa“ księcia Czartoryskiego okazała się „balonem próbnym“ — nieudanym manewrem w celu ratowania skazanej na śmierć kandydatury.

I niedoszły centrowiec hr. H. Kwilecki z Kwilcza znalazł dwóch rycerzy, którzy niby dwa Ajaksy, potykali się mężnie acz nieszczęśliwie za jego kandydaturą. Gdy p. mec. Moczyński z Bydgoszczy zapytał komitet czy prawdą jest, że poseł szamotulski w liście do komitetu wyraził życzenie kandydowania pod flagą centrową, delegat szamotulski p. Łubieński z Kiączyna nie uniewinniając hrabiego Kw. za ten krok starał się jednak wmówić w zebranie, iż jedynie hr. Kw. ma widoki powodzenia w tym okręgu. Przytem delegat posądził komitet o niedyskrecyą a „Dzien. Berl.“ który przyniósł wieść o zamiarach hrabiego Kw., o nietaktowność, wychodząc widocznie z tego mniemania, że prasa jest od pokrywania milczeniem błędów poselskich. Sekundował mu delegat obornicki p. Bogdański z Kwilcza. Zarzuty pana Łubieńskiego upadły sromotnie. Komitet snadnie obmył się z zarzutu niedyskrecyi a w obronie prasy i wolności słowa stanął p. mec. Moczyński. Pochwalił on prasę, która napiętnowała hrabiego Kwileckiego i oświadczył, że niepodobno popierać posła, który z katolika-Polaka chce zmienić się w niemieckiego katolika.

Wszelkie tedy ostatnie manewry zachowawców spełzły na niczem. Zebranie delegatów w dobrem zrozumieniu swych funkcyi a może także poniekąd pod grozą głosów prasy ludowej oraz widma secesyi, którem podobno tu i owdzie straszono — stanęło na wysokości zadania i poszanowało wolę ludu.

Quis.

Wiec westfalski w Poznaniu

Wielki wiec, który się odbył dnia 24-go b. m. w Poznaniu w sprawie wyborów w Westfalii i stosunku Polaków do centrum, stał się świetną, czysto ludową manifestacyą zarówno serdecznego zajęcia się sprawami wychodźców naszych jak zdrowego instynktu politycznego i uczuć patryotycznych w warstwie ludowej.

Przybyło do nas grono rodaków z Westfalii, pracujących tam gorliwie dla sprawy narodowej, aby użalić się na te pisma i duchownych, którzy wbrew zasadzie solidarności, podżegają wychodźców do nieposłuszeństwa wobec ich najwyższej władzy wyborczej, aby przekonać, jakie panuje

w kraju zapatrywanie na tę sprawę, oraz wynieść wskazówkę na przyszłość. Zjeżdżając do nas wychodźcy zadokumentowali jak silne, nierozerwalne węzły łączą ich z krajem, z którego wygnał ich system pruski na daleką obczyznę. A Poznań z swej strony, przyjmując ich serdecznie i z żywym interesem zajmując się ich sprawą dał dowód, iż sprawy wychodźtwa uważa za swe własne i dba o losy braci na zachodzie.

Około sześćset osób zgromadziło się na sali bazarowej; byłoby się jeszcze znalazło miejsca dla setki, ale policya nie dopuszczała przybywających później. Uderzał w tłumie brak inteligencyi. „Dzien. Pozn.“ robi z tego niejako zasługę dla inteligencyi. Tymczasem nie można zapisać na dobro inteligencyi obojętności dla naszego ludu w Westfalii i ich sprawy. „Dzien. Pozn.“ i t. zw. inteligencya byłaby się na tym wiecu dowiedziała wielu rzeczy, o których nie ma pojęcia. Jeżeli zaś zaręcza, że kocha lud, to miała tu sposobność udowodnienia tego, a nie uczyniła tego. Gdyby p. Lensing lub inny centrowiec był zwołał wiec, z pewnością nasi „poważni“ notable byli-by stawili się w komplecie. Niechaj się ci panowie zachowawcy nie dziwią, że ich przywiązanie do ludu poczytujemy za czczy frazes. Inaczej przyjmowała-by czeska inteligencya swych rodaków z Westfalii, całkiem inaczej.... Tam witano-by ich jak braci, by unieśli z sobą w dal drogie wspomnienia z ziemi ojczystej wraz z tchnieniem rodzimej atmosfery, tymczasem poznańska t. z. inteligencya miała dla naszych Westfalczyków obojętność.

Stwierdziwszy ten charakterystyczny fakt abstynencyi — nie ronimy nad nim łez. Jeżeli zachowawcy nie chcą iść naprzód z żywymi — niech gnuśnieją w swej bajecznej „powadze,“ lecz niech nie obrzucają później ludowców wyzwiskami, gdy pewnego dnia, zbudziwszy się z drzemki, staną w obliczu nowych faktów w życiu społecznem, których nie przeczuwali. Zaspali już nieraz....

Myśl wieca należy uważać za bardzo szczęśliwą. Wywrze on bowiem niemały wpływ moralny na naszych wychodźców, a jaką radością przejęło ich to zebranie w Bazarze, dowodzi plika telegramów nadesłanych z najróżniejszych miast Westfalii i Nadrenii. Wnosimy przeto, że emigracya czuje się podniesioną na duchu przez to, iż Poznań tak wziął sobie do serca ich sprawę.

A było to jego obowiązkiem, już dlatego, iż pisma poznańskie i kilka pojedyńczych osobistości uważało za stósowne wmieszać się w sprawę wyborczą w Westfalii dla dobra — centrum. Jedynie „Dzien. Pozn.“ może się dziwić nad zwołaniem wieca westfalskiego w Poznaniu, nie rozumie bowiem, że ta sprawa i dla Poznania nie jest wcale bez głębszego znaczenia....

Niewątpliwie wiecownicy wynieśli dodatnie wrażenie z zebrania, bo okazało się, że sfery ludowe zajęły stanowisko patryotyczne, narodowe, a nie szowinistyczne. Wszyscy godzili się na to, że Westfalia jest niejako domeną centrum tak jak naszą domeną jest Księstwo, Prusy królewskie i t. d. Nikt nie rzucał hasła: precz z centrum! Wszelako jeżli centrowcy stawiają w Księstwie swych kandydatów przeciwko polsko-katolickim kandydatom, nawet w okręgach gdzie ich głosy są nam niezbędne do przeprowadzenia kandydata, jeżli dalej nie uszanowują kompromisu w Lesznie — i my nie mamy powodu troszczyć się o to, czy centrum będzie miało jeden mandat więcej lub mniej. Nie mamy wcale powodu bawić się w jakąś wspaniałomyślność, która w gruncie rzeczy byłaby objawem serwilizmu wobec Niemców katolików, objawem nierozsądku politycznego i niedołęstwa. A rodacy nasi w Westfalii poznali centrowców jako *najniebezpieczniejszych* germanizatorów, gorszych nawet od hakatystów i otwartych wrogów polskości, więc dalsze wysługiwanie się centrowcom, byłoby wprost grzechem narodowym, pomijając już rozliczne innej natury względy, które nakazują im głosować na narodowego kandydata.

Przebieg wieca był po krótce następujący:

P. Stanisław Kuntz z Bitterfeldu zagaiwszy zebranie, zaprosił na przewodniczącego p. Karola Rzepeckiego z Poznania, który powołuje do pióra pana redaktora Wierzbińskiego, a na ławników pp. dr. Szymańskiego, dra Niegolewskiego, red. Milskiego i Urbanowskiego, poczem udziela głosu p. Janowi Wilkowskiemu z Schönebecku w Westfalii.

Wytłomaczywszy cel wieca mówca daje obraz stosunku centrum do Polaków i komitetu ich w Bochum oraz podaje powody, dla których Polacy nie chcą nadal oddawać swych głosów na centrowców. Polacy nie mogą niczego się spodziewać od centrum, zresztą gdzie mniejszość działa ręka w rękę z większością tam większość pochłania mniejszość. O tem przekonali się Polacy w Westfalii, z których wielu stanęło w morzu niemczyzny. Ze strony centrum Polacy doznawali tylko strat, wyzwisk i lekceważenia, a głosując za centrum nie wynosili ani korzyści ani nawet uznania, ani wreszcie poparcia dla kandydatów polskich w Księstwie. Dziś z pomocą obojętnych, nieuspołecznionych Polaków dąży centrum do rozbicia jedności, a w tem pomagają mu niektóre pisma poznańskie i kilku duchownych. W końcu mówca wyraża nadzieję, że powstanie jedna, wspólna organizacya wyborcza dla Polaków w całej Rzeszy niemieckiej.

Następnie zabrał głos p. St. *Kuntz*, i uskarżał się na część prasy poznańskiej, a mianowicie „Kuryera Pozn.“ „Wielkopolanina“ i „Lecha,“ iż wzbudzają niezaufanie dla władzy wyborczej w Bochum. „Wielkopolanin nie ma wyobrażenia jaką walkę staczać muszą wychodźcy w obronie skarbów narodowych (Głosy: wstyd, hańba, pfuj!)

P. przewodniczący zwraca uwagę mówcy, by oględnie wyrażał się o prasie poznańskiej, a p. *Kuntz* usprawiedliwiał się, że nie można się dziwić, iż w ostrych słowach napiętnował „Wielkopolanina“ i „Kuryera,“ jeżeli pisma te ubliżają wychodźtwu. Następnie mówca podniósł z ubolewaniem głos, że kilku kapłanów, którzy swego czasu nazywali zdrajcami wyłamujących się z pod solidarności narodowej, dziś postępują przeciwnie, przykładając rękę do tej roboty pism i pana Lensinga.

Oba przemówienia nagrodzono oklaskami.

P. przewodniczący wyjaśnił cel przemówień mówców, którzy przybyli, aby zapytać się, czy postępują dobrze, głosując na narodowego kandydata.

Następnie p. Wierzbiński odczytał szereg telegramów z Westfalii i Nadrenii od towarzystw polskich i wiecowników. Między innemi znajdował się telegram z wieca w *Essen*, na którym postawiono kandydaturę pana J. Chociszewskiego i uchwalono oświadczenie przeciwko secesyjneej robocie pism poznańskich. Oświadczenie to zawiera prośbę do komitetu centralnego w Poznaniu, by *„zakazał swoim zwolennikom działania przeciw bratniej a równorzędnej i równouprawnionej, choć z robotników złożonej władzy na obczyźnie.“* Sekretarz wysłał to oświadczenie do komitetu centralnego.

P. dr. *Szymański*, wyraziwszy zadowolenie z przemówień z Westfalii, uzasadnia swe stanowisko wobec ruchu ludowego w Westfalii. Jeden naród — jedna organizacya, otóż cel do którego dążą rodacy w Westfalii. Niestety nastąpił tam rozbrat wskutek znanej deklaracyi kilku księży. Trzeba jasno określić granicę pomiędzy narodem a kościołem; u bram kościoła, kończy się polityka narodowa. Jest

tu więcej niż rozbicie solidarności bo — podkopanie samodzielności narodowej. Księża ci dążą do łączenia interesów religijnych z narodowymi a nasze interesy narodowe nie zawsze zgadzają się z religijnymi. Należy uszanować duchownych w kościele, ale zresztą zachować zupełną samodzielność.

P. red. *Brejski* z Torunia tłomaczył dlaczego p. Kuntz mówił z takiem rozgoryczeniem o kilku pismach tutejszych oraz tłomaczył postępowanie komitetu polskiego w Bochum w pertraktacyach z centrum. Były układy więc musiały być też warunki.

Polacy w Westfalii nie oczekują pomocy od rodaków w kraju, ale wymagają, aby im przynajmniej nie przeszkadzano. Nadto mają prawo żądać, aby gazety poznańskie wierzyły w rozum polityczny komitetu w Bochum.

P. *Antoni Brejski* z Bochum pozdrawia Poznańczan imieniem rodaków w Westfalii, lecz nie przemawia w swej obronie na zarzuty czynione „Wiarusowi" przez kilka pism poznańskich, oczekując, aby mu wierzono tyle przynajmniej co — obcym.

P. dr. *Rydlewski* podnosi, że są pisma, które przemawiających w duchu narodowym nazywają krzykaczami. Panuje u nas wielkie zamieszanie pojęć na stosunki w Westfalii i Śląsku. Pod hasłem: jednością silni, doradzano różnych rzeczy. Na Śląsku zrazu potępiano narodowców, potem ich chwalono, a Westfalczyków wzywano do nieposłuszeństwa wobec władzy wyborczej. Co się tyczy księży, którzy nawołują do niesolidarności, to znają oni zbyt dobrze stosunki westfalskie, aby mogli szczerze napędzać Polaków w służbę centrum. Niezawodnie za odezwę ich jest kto inny odpowiedzialnym.

Z kolei zabrał głos p. Wąs, socyalista. Ponieważ nie trzymał się przedmiotu będącego na porządku dziennym mimo dwukrotnego upomnienia ze strony przewodniczącego, odebrał mu tenże głos. Podczas tego podniósł się taki hałas na sali, że reprezentant policyi zagroził rozwiązaniem i jedynie dzięki energii przewodniczącego udało się przywrócić spokój.

P. *Wilkowski* zaznacza, że centrum nietylko pod względem politycznym, ale także ekonomicznym wrogo występuje przeciwko Polakom. Stara się podminować i obalić polski związek zawodowy.

P. *Niedbalski* z Poznania gromi „Wielkopolanina" i odezwę pięciu księży, poczem przewodniczący odczytuje depeszę od głównego komitetu w Bochum. Zebranie uchwala telegraficznie wyrazić komitetowi wotum zaufania.

Po odczytaniu innych telegramów przemawiają pp. Kunz i Sieradzki z Duisburgu, który w słowach z serca płynących mówi o młodszem pokoleniu emigrantów i upomina, aby matki dbały o wychowanie narodowe dzieci, jeżli nie chcą aby one później poszły na marne. Nieoświeceni giną na obczyźnie dla narodu. Gorące słowa mówcy przyjęto gromkimi oklaskami.

P. red. *Milski* chwali postępowanie i politykę komitetu westfalskiego, który dobrze wie co robi. Nikt też nie ma prawa podstawiać mu nogi. Dzielnice zniemczone u nas są dowodem germanizacyi przez kościół albo raczej duchownych. Z tej strony zagraża nam największe niebezpieczeństwo. Nie możemy też pochwalić, aby księża mieszali się do polityki i odwodzili Westfalczyków z drogi narodowej.

P. *Świtała* podnosi z uznaniem doskonałą organizacyą Polaków w Westfalii, poczem uzasadnia potrzebę wspólnego ciała wyborczego i wnosi następującą rezolucyą:

„Ponieważ sprawa wyborów we Westfalii doprowadziła do pożałowania godnych nieporozumień, ponieważ zachodzi obawa, że nieporozumienia te w następstwach swych narazić mogą na szwank interesa polityczne społeczeństwa, a nawet wiary naszej — zebrani na wiecu, dnia 24-go b. m. w Poznaniu wyborcy Polacy, popierają gorąco przedstawioną przez rodaków z Westfalii myśl utworzenia *centralnej organizacyi wyborczej polskiej*, widząc w przeprowadzeniu myśli tej jedyny sposób do uniknięcia rozbicia społeczeństwa z jednej, a z drugiej strony wzmocnienia stanowiska naszego wobec stronnictw niemieckich i proszą dlatego delegatów powiatowych, aby już na najbliższym zjeździe swym poczynili odpowiednie kroki w celu utworzenia komitetu centralnego na całą Rzeszę niemiecką."

P. *Biedermann*, wydawca „Pracy" wita gości westfalskich, dziękuje im za przybycie i wyraża uznanie dla patryotycznego ducha, którego objawy spotykał w Oberhausen i innych miejscowościach. Następnie mówca uzasadnia potrzebę solidarności i wnosi następującą rezolucyą:

„Polacy zebrani na wiecu w Poznaniu d. 24-go b. m. wyrażają uznanie dla działalności głównego komitetu w Bochumie i mają nadzieję, że rodacy w Westfalii nie pozwolą się sprowadzić przez pisma i zakusy pojedyńczych osób z drogi szczerze narodowej polityki, która zjednała im poklask całej Polski, lecz solidarnie stać będą przy swej władzy wyborczej i w dniu 16-go czerwca jak jeden mąż oddadzą swe głosy na kandydata narodowego *Józefa Chociszewskiego.*"

Obie rezolucye przyjęto jednomyślnie.

Wreszcie p. przewodniczący zreasumował jasno przebieg i rezultat wiecu. Dalej wyraża życzenie, abyśmy mieli jaknajwięcej agitatorów dla świętej sprawy ojczystej. Wreszcie dziękuje Westfalczykom za informacye i działalność ich patryotyczną i podnosi okrzyk na ich cześć: niech żyją! który zebrani podjęli z entuzyazmem.

W końcu podziękowano p. K. Rzepeckiemu za doskonałe kierowanie zebraniem poczem tenże zamknął wiec pochwaleniem Pana Boga.

Q.

Ze statystyki wyborczej.

Od Komitetu wyborczego odebraliśmy „informacye wyborcze" dla użytku Komitetów powiatowych, mężów zaufania i t. d, które opracował skarbnik Komitetu *p. Karol Rzepecki.*

Z informacyi tej wyjmujemy najważniejsze wskazówki i ciekawe cyfry statystyczne. Skoro Komitet prowincyonalny opublikuje nazwiska kandydatów na wszystkie 15 okręgów, (co już nastąpiło dnia 27-go maja, — Przyp. Red.) natenczas powinny Komitety powiatowe zabrać się natychmiast do drukowania i rozsełania kartek i odezw, do zwoływania mężów zaufania, tak, aby w każdej wsi, w każdym folwarku był mąż czuwający nietylko nad rozdaniem odezw i kartek, ale także nad przebiegiem czynności wyborczej w lokalu samym, przed nim, i to nietylko w ciągu dnia, lecz nawet po godz. 7-mej wieczorem, gdy biuro wyborcze zabiera się do liczenia oddanych głosów. Pamiętać trzeba o tem, aby koniecznie — mianowicie tam, gdzie do biura wyborczego powołano samych Niemców — znajdował się przez cały dzień, choćby na przemian mąż zaufany, któryby uważał na prawidłowy przebieg wyborów i w danym razie — przed lokalem — pouczał wyborców naszych jak się mają zachować. Lepiej jeszcze będzie, gdy dwóch zaufanych na przemian ludzi będzie ustawicznie w lokalu a dwóch z kartkami i poradą przed lokalem wyborczym. Należy ciągle pouczać lud o nowym sposobie głosowania przez kładzenie kartki w kopertę urzędową, którą się otrzyma przy wejściu na salę wyborczą. Niemieckie kartki

należy chować do kieszeni i tępić je, nie w lokalu lub przed lokalem, lecz w domu po skończonych wyborach.

Jednym z najważniejszych czynników do osiągnięcia dobrych wyników głosowania jest rozpamiętywanie przebiegu ostatnich wyborów. Komitety powiatowe obowiązane według nowego regulaminu wyborczego do układania statystyk powinny wiedzieć tak samo jak i mężowie zaufania ile głosów oddali Polacy przed 5-ma laty i przypomnieć sobie powody dlaczego Niemcy mieli wiele albo za wiele głosów; dalej powinni się starać koniecznie o to, aby liczba głosów polskich tego roku się zwiększyła; najlepszym środkiem powiększenia liczby głosów polskich jest uświadomienie polskiego ludu pracującego pod niemieckim panem. Trzeba go pouczyć, że koperta chroni go od wydalenia z pracy — trzeba go pouczyć, aby kartkę wtłoczoną mu przez Niemca tak dobrze ukrył, iżby ona nie ujrzała już dziennego światła; trzeba mu już na 2 dni przed wyborami doręczyć kartkę polską, którą niechaj schowa za pazuchę, aby ją mógł wygodnie i szybko wsunąć do urzędowej koperty. Koperty zalepiać nie potrzeba, kartka musi być czystą, bez plam, gdyż inaczej jest nieważną.

Liczba głosów polskich zwiększa się od kadencyi do kadencyi coraz poważniej, a chociaż mamy obecnie tylko 14 posłów Polaków w parlamencie i nie mieliśmy dotąd więcej nad 20, to mimo to cieszyć się możemy poważnym wzrostem głosów naszych pochodzącym nietylko z naturalnego przyrostu ludności, ale także z coraz to większego uświadomienia naszego polskiego ludu.

Liczyliśmy w Rzeszy niemieckiej

w roku	polskich posłów	głosów polskich
1871	13	176,300
1874	14	198,400
1877	14	216,200
1878	14	210,100
1881	18	194,900
1884	16	203,200
1887	13	220,000
1890	16	246,800
1893	19	229,500
1898	14	256,000

licząc w to w roku 1898 głosy polskie w Prusach Zachodnich, Westfalii, Berlinie, na Mazurach a nie licząc około 100,000 głosów oddanych w dziewięciu okręgach wyborczych przez Polaków na kandydatów przynależnych do niemiecko-katolickiego Centrum.

Wynik wyborów w naszem W. Ks. Poznańskiem, który nas najwięcej dotyczy, przedstawia się jak statystyka wykazuje.

Statystyka głosów polskich i obcych oddanych przy ostatnich wyborach do parlamentu w W. Księstwie Poznańskiem w r. 1898.

Okręg	Nazwa powiatów	Konserwatyści	Reichspartei	Wolnomyślni Richtera	Wolnomyślni Rickerta	Socyaliści	Liberałowie	Centrum	Polacy	Poseł	Głosów czysto polskich	Uwagi
1	Poznań miasto, wschodni i zach. poznański	—	9482	—	—	720	—	—	15412	Chrzanowski	15412	wyb. uzupełn. r. 1900 1000 głosów niem. kat. na Polaka.
2	Szamotulsko-obornicko-międzychodzko-skwierzyński	10344	—	—	547	62	695	—	12461	Kwilecki	11461	wybór ściślejszy r. 1900 czysto polskich głosów 7300.
3	Międzyrzecko-babimojski	9555	—	—	—	—	—	—	8719	v. Gersdorff	7300	z tego otrzymał dr. Szymański 368 gł.
4	Śmigielsko-kościańsko-grodzisko-nowotomyski	—	4079	—	389	—	—	—	13906	Cegielski	13906	
5	Rawicko-gostyński	3792	—	—	—	233	—	—	7470	Czartoryski	7470	
6	Wschowsko-leszczyński	—	5167	—	—	—	—	5986	—	ks. Tasch	3100	centrowiec otrzymał 3100 głosów polskich, 1300 wolnomyślny.
7	Śremsko-średzki	—	3069	51	—	—	—	—	11821	Głębocki	11821	
8	Wrzesińsko-jarocińsko-plesz.	2857	—	—	—	—	—	—	11070	Dziembowski	11070	
9	Krotoszyńsko-koźmiński	—	2888	—	—	—	—	—	8065	ks. Jażdżewski	8065	
10	Ostrowsko-odalanowsko-ostrzeszowsko-kempiński	78	2531	97	—	32	—	—	12460	Radziwiłł	12460	
11	Czarnkowsko-wieleńsko-chodzieżki	9688	—	—	11674	—	—	—	—	Ernst	5082	wyb. ściślejsze roku 1898 wolnomyślny otrzymał 5082 gł. polskich.
12	Wyrzysko-żnińsko-szubiński	—	—	1100	—	—	8710	—	10256	Czarliński	10256	
13	Bydgoszcz miasto i powiat	—	10163	—	—	2930	—	—	6193	v. Tiedemann	6198	
14	Inowrocławsko-strzelińsko-mogilnicki	5894	—	—	—	553	—	—	15158	Krzymiński	15158	
15	Gnieźnieńsko-witkowsko-wągrowiecki	—	4653	298	—	—	—	—	14440	Komierowski	14440	
		42208	42032	1546	12610	4530	9405	5986	147431	11 Polaków.	153194	

Oddali zatem głosów:

Konserwatywni	42.208
Reichspartei (cesarscy)	42.032
Wolnomyślni Richtera (żydzi)	1.546
„ Rickerta 12610-5082	7.528
Socyaliści (w tem $^1/_3$ gł. polsk.)	4.530
Liberalni	9.405
Centrum 5986-3100-1300	1.586
Polacy 147.431 + 3100 - 1419 + 5082 - 1000	163.194
Ogółem	262.029

Z tego oddali Polacy głosów. 153.194
Inne stronnictwa razem 108.825

Polacy oddali 58.5 procent, inne stronnictwa 41.5 procent głosów; uwzględniając stosunek ten do ilości posłów, winni Polacy mieć z 15 okręgów posłów 9, inne stronnictwa posłów 6. Ponieważ mieliśmy dotychczas posłów 11, a inne stronnictwa 4 i to centrum 1, konserwatywni 2, wolnomyślni 1, przeto wynik ostatnich wyborów był dla nas względnie jeszcze korzystny. Oby tak było i nadal! Na 15 okręgów Księstwa naszego będziemy musieli toczyć w 4-ch zacięte walki w przyszłości z małymi lub żadnymi widokami zwycięztwa. Dwa okręgi, to jest drugi i dwunasty są poważnie zagrożone, natomiast w 9-ciu okręgach mamy poważne cyfry większości, których nam Niemcy przez całe dziesiątki lat nie w stanie wydrzeć.

Są to okręgi:

1.	pozn. miejs. wschod. zach. absol. większ. gł.	+	5210
4.	śmig. - kość. - grodz. - nowotom.	„ +	9438
5.	rawicko - gostyński	„ +	3445
7.	śremsko - średzki	„ +	7701
8.	wrzes. - jaroc. - pleszew.	„ +	8213
9.	krotoszyńsko - koźm.	„ +	5177
10.	odol. - ostrow. ostrzesz. - kemp.	„ +	9722
14.	inowrocł. - strzel. - mogiln.	„ +	8711
15.	gniezn. - witk. - wągrow.	„ +	948

Najpewniejsze okręgi, które najdłużej opierać się będą naporowi niemczyzny, są: ostrowski (9722) gnieźnieński (9489), kościański (9438), inowrocławski (8711), pleszewski (8213); najsłabsze są: gostyński (3445), krotoszyński (5177), poznański (5210), średzki (7701). Wynika także z powyższego zestawienia, iż niemczyzna wbiwszy się klinem pomiędzy Księstwo a Prusy Zachodnie, pcha się coraz więcej na wschód i opasała nas pierścieniem od Torunia, Bydgoszczy pasem nadnoteckim, granicą brandenburską i ślązką coraz to wzmagającego się żywiołu germańskiego.

ODEZWA.

Walne zebranie delegatów z W. Księstwa Poznańskiego wyznaczyło w dniu 26 maja 1903 r. na poszczególne okręgi wyborcze następujących kandydatów poselskich do parlamentu niemieckiego.

Okręg 1-szy: gnieźnieńsko-witkowsko-wągrowiecki
p. **Leon Grabski** — Gniezno.

Okręg 2: kościańsko-śmigielsko-grodzisko-nowotomyski
p. dr. **Witold Skarzyński** — Spławie.

Okręg 3: śremsko-średzki
p. **Józef Głębocki** — Kórnik.

Okręg 4: wrzesińsko-pleszewsko-jarociński
p. dr. **Antoni Chłapowski** — Poznań

Okręg 5: krotoszyńsko-koźmiński
X. **prałat Jażdzewski** — Środa.

Okręg 6: odolanowsko-ostrowsko-ostrzeszowsko-kępiński
książę Ferdynand Radziwiłł Antonin.

Okręg 7: Poznań miasto, poznański wschodni i zachodni
p. **Bernard Chrzanowski** Poznań.

Okręg 8: inowrocławsko-strzelińsko-mogilnicki
dr. Józef Krzymiński — Inowrocław.

Okręg 9: rawicko-gostyński
p. **Józef Mycielski** — Berlin.

Okręg 10: wschowsko-leszczyński
X. Radzca Mojżykiewicz Przement.

Okręg 11: szubińsko-żnińsko-wyrzyski:
p. **Leon Cza liński** — Toruń.

Okręg 12: szamotulsko-międzychodzko-skwierzyńsko-obornicki
p. **Maciej hr. Mielżyński** Chobienice.

Okręg 13: czarnkowsko-wileńsko-chodzieski
X. dziekan **Gajowiecki** — Chodzież

Okręg 14: babimojsko-międzyrzecki
p. **Maciej hr. Mielżyński** Chobienice.

Okręg 15: bydgoski miejski i wiejski
p. **Leon Czarliński** — Toruń.

Podając powyższą uchwałę walnego zebrania delegatów do ogólnej wiadomości, stwierdzamy, że dla wyborców Polaków w W. Ks. Poznańskiem z dniem dzisiejszym okres wybierania kandydatów do krzeseł poselskich w parlamencie niemieckim się zakończył.

Nadeszła pora wytężonej pracy i usilnej agitacyi, żeby zamianowani kandydaci w dniu 16 czerwca r. b. zostali posłami.

Liczba wybranych posłów, a bardziej jeszcze ilość na polskich kandydatów oddanych kartek wyborczych będą świadczyły o stopniu naszego wyrobienia politycznego i pogłębieniu uświadomienia narodowego.

W dniu 16 czerwca będzie mógł każdy do głosowania uprawniony czynem stwierdzić, że czuje się obywatelem i Polakiem.

Ufamy, że żaden wyborca Polak nie usunie się od spełnienia tego czynu i jak żołnierz w bitwie na szańcu stanie dnia 16-go czerwca przy urnie wyborczej.

Poznań, 26-go maja 1903.

Prowincyonalny Komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Ks. dziekan Antoniewicz, prezes. *Stefan Cegielski,* wiceprezes. *Dr. Krysiewicz,* sekr. *M. Więckowski,* skarbnik. *Julian Brzeski. Dr. A. Chłapowski. Dr. T. Szułdrzyński.*

Z Abbazii.

(Garść wrażeń z *słowiańskiej Riviery.*“ *List korespondenta „Pracy.*“)

I.

Wobec naprężających się coraz bardziej stosunków polsko - niemieckich, wobec wzmagania się hakaty, która zatruwa nam już nawet pobyt nad naszym Bałtykiem, a nawet wydane tam do rąk niemieckich pieniądze nasze na szkodę i zgubę naszą obraca, prasa polska rozstrząsa coraz częściej kwestyą, dokąd udać się winni ci z pośród nas, którzy dla zdrowia koniecznie potrzebują kąpieli morskich i morskiego powietrza oraz ci, którzy mogą pozwolić sobie na krótszy lub dłuższy wypoczynek w jakiej miejscowości kąpielowej lub tak zw. „klimatycznej.“ Tych ostatnich, międzylądowych, mamy dużo, dzięki Bogu, na własnej ziemi — mianowicie w *Galicyi.* Te też przed wszystkiemi innemi otrzymać powinny pierwszeństwo. Gdzież atoli udać się mają ci, którzy koniecznie dla zdrowia potrzebują morskich kąpieli i słonego morskiego powietrza? Tu rada trudna. Do włoskiej i francuzkiej „Riviery“ droga daleka i podróż kosztowna a niemniej kosztowny tam pobyt. I pod innym jeszcze względem niedobrze tam wysyłać *„naszych,“* jak wiadomo, tak skłonnych do wszelakich gier hazardowych, bo właśnie na włoskiej i francuzkiej „Rivierze“ istnieją główne ogniska hazardu: *Nizza* i *Monaco,* nie mówiąc już o innych, mniejszych, mniej znanych, lecz nie mniej niebezpiecznych. Wobec tego odzywają się coraz częściej głosy, zalecające jako najodpowiedniejsze dla „naszych“ kąpielowe i klimatyczne miejscowości *morskie* — *Abbazia* i sąsiednie osady na *słowiańskiej* „Rivierze.“ Droga tamdotąd krótsza, a koszta podróży — zwłaszcza jadąc przez Węgry — znacznie niższe, niż na „Rivierę“ francuzko-włoską. Przytem to ziemia *słowiańska* — chorwacka — więc poniekąd także *nasza.* Rady te nie znalazły dotychczas szerszego posłuchu; — gdy jednakże kwestya: dokąd jechać? — staje się coraz bardziej piekąca dla tych, którym koniecznie *morza* potrzeba, może przydać się im i ta garść wrażeń i spostrzeżeń, zebranych na miejscu w Abbazyi i wogóle na tej „słowiańskiej“ „Rivierze.“

II.

Słowiańska „Riviera!“ Brzmi to ładnie i dla ucha naszego ponętnie — lecz niestety, więcej w tej nazwie eufemizmu niż prawdy. Słowiańską jest ta ziemia, to prawda, i to już od przeszło tysiąca lat. Zamieszkuje ją dzielny i poczciwy lud chorwacki — który gorsze i cięższe jeszcze, niż my przechodził koleje — lecz na niej nie panuje. Władzę nad nią i nad nim dzierżą po dziś dzień aż trzy narody: *Niemcy, Madziarzy i Włosi.* Niemcy w austryackiej Istryi, Madziarzy na pobrzeżu około Rieki-Fiume, Włosi zaś tu i tam, mając w swem ręku handel, przemysł i wogóle przewagę materyalną. Wszystkie trzy te narodowości dążą do wynarodowienia nadmorskich Chorwatów, trzy ich języki psują i kaleczą prastarą mowę chorwacką. To też lud w tych stronach — a lud to chorwacki — ciężko walczy zarówno o swój byt materyalny jak i narodowy, — w nadbrzeżnych miejscowościach mówi zaś gwarą, której najlepszy nie zrozumie lingwista. I gdyby to pobyt nasz w tych stronach w czemkolwiek mógł mu użyć lub pomódz! Gdzież tam!

W Riece pieniądze nasze zagarną Niemcy i Włosi, w Abbazyi Włosi i Niemcy. Ta tylko pociecha, że ci Niemcy dla nas, dla Polaków — jeszcze nieszkodliwi.

* * *

Z pięknej stolicy Słowieńców, z Lublany, kolej, wioząca nas do Abbazyi wznosi się coraz wyżej ku szczytom istryjskiego Karstu. Im wyżej, tem smutniejszy przedstawia się oczom naszym widok. Za św. Piotrem w Krainie prawdziwa już otacza nas pustynia. Skały i znowu skały, nagie, szare, a między niemi kamień na kamieniu, a na nim znowu kamień. Gdzie niegdzie tylko skąpe pastwiska i rzadkie zagajenia, wśród których bielą się ubogie kamienne domki słowiańskich górskich wiosek. Ta dzika i ponura pustynność Karstu — to owoc kilkowiekowego panowania nad nim chciwej złota Wenecyi. Czuła ona widocznie, że panowanie jej nie będzie wieczne i trwałe, więc też rabowała wszystko, co zrabować się dało, nic w zamian nie dając nieszczęśliwej tej ziemi i jej mieszkańcom. Wenecyanie wycięli ogromne, bujne dziewicze lasy, pokrywające dawniej góry Karstu, odebrali im przez to wilgoć, wyjałowili i w suchą, kamienną zamienili pustynię. W krwawym znoju prawowity pan tej ziemi, dziś ubogi Chorwat z małych kotlin i dolin wydobywa chude płody — aby z głodu nie umrzeć. Gdzie stoki gór oświeca słońce południowe, zakłada małe swe winnice, wydające najgłówniejszy stron tych produkt, ciemno-czerwone istryjskie *wino*, kwaśne lecz nie złe i zdrowe.

Tor kolejowy wije się jak wąż przez te góry, wyciętemi w skale wąwozami i tunelami. Nagle pociąg zaczyna przyspieszać biegu; znak, że szczyty już minął, że spuszcza się ku południowi. Wyglądamy przez okno wagonu i oto dziwny i czarujący roztacza się przed wzrokiem naszym widok. Głęboko u stóp naszych marszczy się sina szyba *morza*. To *Adrya* — a raczej najdalej tu na północ w głąb lądu wciskająca się jej zatoka: *Quarnero*. Góry Karstu spadają ku niej na pozór zupełnie stromo. Na ich stokach bieleją wioski, u ich stóp widnieją miasta i miasteczka. Na lewo handlowa *Ricka*, przez Włochów Fiume zwana, a na prawo, wśród bujnej zieleni niby gród z zaczarowanej baśni, pełen błyszczących gmachów i pałaców — to *Abbazya*.

* * *

„Abbazia" — z akcentem na *i* — nazywają ją Włosi i Niemcy, a wraz z nimi bywalcy z całego świata. Lud tubylczy, lud chorwacki zwie ją *Opatyją*. I tę też nazwę obok „Abbazyi" widzimy na tablicach i napisach urzędowych. W Austryi bowiem chociaż często tylko pozornie, wszystkie języki równouprawnione. Opatyją czyli „Abbazią" nazwała się zaś od *opactwa*, jakie tu przed tysiącem z góry lat założył zakon mrówczej pracy — *Benedyktyni*. Z tego opactwa pozostał dziś obok nazwy tylko mały, stary kościółek z kamienia, tuż nad morzem, pod wezwaniem św. *Jakóba*. Po Benedyktynach rządzili w nim Augustyanie, po nich Jezuici, których wypędził rząd Wenecyi. Kilkakrotnie ogniem i mieczem pustoszyli tę okolicę Turcy. I w pierwszej połowie zeszłego stulecia wyglądało tu tak samo, jak na całym Karście i jego wybrzeżu, głucho, pustynnie, dziko i nędznie. Na prawo i na lewo istniały małe zwłoszczone osady chorwackie: Volosca, Ika, Lowrana, których mieszkańcy żyli z rybołóstwa lub żeglugi — z zajęcia, jakie im dawała sąsiednia, już wówczas bardzo handlowa Rieka. I rzecz dziwna, wbrew naturze słowiańskiej, kochającej się w ziemi i w pługu, ci prawdziwi lub zwłoszczeni Chorwaci stali się doskonałymi żeglarzami i dostarczają po dziś dzień jeszcze Austryi najtwardszych, najdzielniejszych marynarzy.

* * *

Pustynną niemal była ta część wybrzeża Istryi — lecz tylko przez złość i niedbałość ludzką. Wypełniająca doliny i kotliny czerwona, gliniasta, a raczej marglowata ziemia — zwana przez Włochów „terra rossa" — posiada wielką siłę wydajną, a jest jej tyle, że można nią powlec znaczną część skalnych żeber górskich. Klimat przytem — morski, nieznacznie rzadko opadający niżej zera — sprzyja wszelkiej wegetacyi. Potrzeba było tylko siły, umiejętności i wytrwałości ludzkiej, aby w tym zakątku stworzyć mały raj ziemski. I stało się to szybko. W ciągu lat trzydziestu niespełna powstała tu jedna z najsłynniejszych dziś miejscowości kąpielowo-klimatycznych — a bez zaprzeczenia także jedna z najpiękniejszych.

* * *

W bezpośredniem niemal sąsiedztwie starej świątyni Opactwa zbudował sobie w roku 1844 bogaty patrycyusz sąsiedniej Rieki, „rycerz" Iginio di Scarpa skromną, lecz ładną wilę, która stoi do dziś i jako wila „Angiolina" stanowi centrum Abazyi. Rozmiłowany w przyrodzie Scarpa na skalistym brzegu stworzył stucznie park niewielki, lecz przedziwnej piękności. Rosną w nim wszystkie drzewa i krzewy południowej flory europejskiej, a obok nich rozmaite okazy flory azyatyckiej i amerykańskiej, sprowadzone przez pierwotnego właściciela tej bujnej oazy.

Bawiący u niego w gościnie przyjaciele z blizka i z daleka rozkoszowali się tem jego *tusculum* i roznosili jego sławę coraz dalej. Wkrótce zwrócili na niego uwagę także lekarze. Ciepły klimat, zapraszające wprost do kąpieli morze, bujna roślinność — cisza ustronia, zasłoniętego przed burzami północy najwyższym szczytem Karstu, wznoszącym się na 1300 metrów ponad morze *Monte Maggiore*, wszystko to składało się jakby rozmyślnie na ponętne miejsce kuracyjne. Za przykładem Scarpy poszli wkrótce inni patrycyusze Rieki i również wznieśli tu rezydencye wiejskie. Powoli z bliższych okolic zaczęli napływać goście kąpielowi. Lecz mimo to — Opatya byłaby pozostała nieznaną szerszemu światu małą włosko-chorwacką osadą — gdyby nie *spekulanci niemieccy*. Dużo oni wyrządzili światu złego, lecz czasem i coś dobrego.

Zbudowana przed trzydziestu laty austryacka kolej południowa jest przedsiębiorstwem prywatnem. Towarzystwo, które ją zbudowało, starało się od początku usilnie o zapewnienie jej jaknajwiększej rentowności. Dyrektor tego Towarzystwa, zmarły przed kilku laty milioner Schüler, zauważył, że Abazya mogłaby się stać dla tej kolei „dobrym interesem" i postanowił tu stworzyć głośne miejsce kuracyjne. Rzucił więc na szalę miliony i dopiął celu. Za miliony te powstały olbrzymie, wspaniałe hotele, prześliczne promenady i drogi lesiste, parki i ogrody. Zachęceni jego przykładem zjawili się w ustroniu także mniejsi, prywatni spekulanci. Jak grzyby po deszczu wyrastały na skałach wile, powstawały pensye, restauracye, kawiarnie. Reszty dokonała zręczna *reklama*. Umiano zainteresować dla tego ustronia nawet dwory. Zjeżdżali tu najprzód członkowie cesarskiej rodziny austryackiej, w roku 1893 przybyła na dłuższy pobyt cesarzowa niemiecka z dziećmi, za jej śladem poszli mniejsi potentaci europejscy, poszła arystokracya rodowa i pieniężna, aż wreszcie Abazya — to ciche ustronne opactwo, stało się głośnem na całym świecie. Pytanie tylko — czy zasługuje na ten rozgłos i wziętość dzisiejszą!

J. K. M.

Z TYGODNIA.

Do tylu stałych już niemal paroksyzmów, wstrząsających monarchią *austro-węgierską* przyłączył się od kilku tygodni nowy, który w ubiegłym tygodniu szczególnie groźną przybrał formę. Rozgrywa on się tym razem na ziemi *chorwackiej*. „Mądrość“ dyplomatów austryackich podzieliła przed laty ziemię tę na dwie części, przyłączając jednę do krajów austryackich (Dalmacyą), drugą do krajów węgierskich (właściwą Chorwacyą i tak zw. Slawonię). Dalmacya posiada samorząd taki, jak wszystkie inne kraje austryackie, ponieważ zaś Wiedeń liczyć się musi dziś ze Słowianami, przeto i Chorwaci w Dalmacyi cieszą się dość wielką swobodą i są ze swego losu zadowoleni. Znacznie gorszem jest położenie Chorwatów w części węgierskiej. Otrzymała ona wprawdzie także, w nagrodę za usługi, jakie wyświadczyli Chorwaci Austryi podczas rewolucyi węgierskiej, obszerny samorząd, nawet obszerniejszy, niż posiada Dalmacya, oraz tytuł osobnego królestwa, lecz samorząd ten nie ostał się wobec zachłanności Węgrów. Ci najzawziętsi wrogowie Słowian ograniczali go coraz bardziej, gwałcili prawa Chorwacyi, wyzyskiwali ją ekonomicznie, aż wreszcie cierpliwy zresztą lud chorwacki doprowadzili do rozpaczy.

Od miesiąca przeszło jest Chorwacya widownią hałaśliwych demonstracyi i krwawych starć między ludem, a żandarmeryą i wojskiem. Naczelnik rządu chorwackiego, oddany duszą i ciałem Węgrom „ban“ baron *Kuen Hederwary,* usiluje antiwęgierski ruch ten stłumić bezlitośną surowością. Doszło do tego, że dziś więzienia przepełnione są Chorwatami, że co chwila ginie który z uczestników ruchu na szubienicy, że prasa chorwacka nie może nawet słówka napisać w obronie uciśnionego ludu. W chwili, gdy to piszemy, położenie jest tak naprężone, że obawiać się można powszechnej rewolucyi w tym kraju przeciwko Węgrom.

Niedola Chorwatów w właściwej Chorwacyi wzburzyła także ich ziomków w Dalmacyi. Znany poseł chorwacki z tej dzielnicy, zacny ks. *Biankini,* poruszył tę sprawę w parlamencie wiedeńskim, tymczasem otrzymał od dr. Körbera odpowiedź wymijającą. Tymczasem część posłów sejmu chorwackiego udała się do Wiednia, aby przedłożyć swe skargi cesarzowi. Do nich przyłączyli się także posłowie z Dalmacyi. Szlachetny cesarz Franciszek Józef pomny wierności Chorwatów dla dynastyi habsburgskiej, chętnie zapewne byłby ich wysłuchał, gdyby nie byli się temu sprzeciwiali Węgrzy. Poruszyli oni wszelkie sprężyny i zapobiegli tej audyencyi. Posłowie wrócili z niczem i lud chorwacki przekonał się ponownie, że Węgrzy dzięki swej brutalnej bezwzględności są dziś w Austryi potężniejsi od cesarza nawet.

Dolało to naturalnie oliwy do ognia — i łatwo pociągnąć może za sobą fatalne dla Austryi następstwa. Być może, że Węgrzy tym razem jeszcze zdołają pokonać ten ruch narodowy w Chorwacyi, długo jednakże zwycięztwem swem cieszyć się zapewne nie będą. Ucisk w jakim trzymają przyłączone do swej „korony“ ludy słowiańskie musi w końcu wywołać ogólny wybuch, a wówczas skończyć się może panowanie tych brutalnych azyatyckich intruzów w sercu słowiańszczyzny. Najwyższy zaprawdę czas, aby mu wreszcie położono koniec. Przewrot taki zachwiałby wprawdzie na chwilę cały byt Austryi, lecz potem, oparta jedynie na narodach słowiańskich, potężniejszem niż dziś stałaby się ona mocarstwem.

Francyą trapi i osłabia dalej nieszczęsna walka rządu z Kościołem. Zachęceni i ośmieleni wrogą względem Kościoła postawą rządu, radykałowie i socyaliści napadają już teraz kościoły i przeszkadzają nabożeństwom i kazaniom. W kilku wypadkach źle im wprawdzie przytem poszło. Wzburzeni do żywego napaściami takiemi katolicy, zbili ich tak, że ledwie żywi zdołali ujść z kościołów. Pokazało się przytem, jak to radykalna prasa pojmuje wolność i sprawiedliwość. Dzienniki tego kierunku, które krzyczą zaraz w niebogłosy, gdy jaki katolik nadepnie gdzie na nogę żyda, masona lub socyalistę — pochwalają teraz te napaści, te wołające o pomstę do nieba gwałty, a oburzają się na katolików, iż śmią się wogóle bronić! Walka z Kościołem zaostrza się też we Francyi coraz bardziej. W parlamencie stronnictwa radykalne znów poruszyły myśl *zerwania konkordatu z Stolicą św.* Rząd oświadczył wprawdzie, że na razie jeszcze nie zamierza myśli tej zrealizować, że atoli uczyni to napewno, jeźli Kościół dalej „będzie stawiał opór państwu.“ Czy się na to odważy, trudno przewidzieć.

W *Macedonii* ruch rewolucyjny znacznie osłabł w ostatnim tygodniu. Czy wyczerpał już swe siły, czy też zbiera je tylko do nowego ataku — trudno wiedzieć. Dość, że potyczek mniej było niż przedtem, a zamachy dynamitowe zupełnie ustały. Być może, że wpłynęło na to także przesilenie gabinetowe w Bułgaryi. Księciu Ferdynandowi, który bawił przed dwoma tygodniami w Paryżu, francuzki minister spraw zagranicznych Delcasse w imieniu Francyi i Rosyi przedstawił wymownie całą grozę niebezpieczeństwa na jakie naraża się Bułgarya przez popieranie Macedończyków. Książę, wróciwszy do domu, zaraz dał dymisyą gabinetowi *Danewa* i powołał do steru rządów nowych ludzi. Są to wyłącznie zwolennicy zamordowanego przed ośmiu laty *Stambułowa.* Prezes nowego gabinetu *Petrow* oświadczył, obejmując rządy, że pragnie uniknąć wojny z Turcyą, że przeto nie będzie popierał rewolucyi macedońskich pobratymców. Pytanie tylko, czy oświadczenie to uważać można za szczere. Równocześnie dał publicznie zapewnienie, że bynajmniej nie jest wrogo usposobiony względem Rosyi. Tam atoli, mimo to zapewnienie, przyjęto nowy gabinet z niechęcią. Rezultat tej zmiany ostatecznie tylko taki, że w kwestyi bałkańskiej przybył jeszcze jeden ważny — znak zapytania.

W *Rosyi* podziemny ruch rewolucyjny wydaje i spełnia wyroki z przeważającą akuratnością. W *Ufie,* mieście gubernialnem na wschodnich kresach Rosyi, padł trupem podczas przechadzki w parku od kul spiskowców gubernator tamtejszy *Bogdanowicz.* Jest to kara za to, że przed kilku miesiącami w osadzie fabrycznej Złatoúście podczas strejku robotników kazał wojsku strzelać do ludu, przyczem poległo 75 robotników. Morderców jego dotychczas nie wyśledzono. Rząd rosyjski czuje się bezsilnym wobec tej agitacyi podziemnej. Tego rodzaju mordy polityczne trzeba potępić, w tym jednakże wypadku sprawdziło się tylko stare przysłowie, że jaką kto bronią walczy, od takiej zginie. Sprawdzić się ono może i w szerszych jeszcze rozmiarach na całym rządzie carskim, jeżeli w czas nie porzuci knuta i nie przyzna społeczeństwu rosyjskiemu większej swobody.

Sławiona jedność *Rzeszy niemieckiej,* zaczyna się poważnie rysować i rozprzęgać. Obiegają pogłoski, że między *Prusami* a *Bawaryą* powstał zatarg zasadniczy o rozmaite kwestye konstytucyjne. Rząd pruski pragnie bowiem zagarnąć wszelką władzę w swoje ręce, nawet w polityce zagranicznej nie pyta o zdanie mniejszych państw Rzeszy. Teraz zażądał nawet ażeby także korpusami bawarskimi dowodzili stale generałowie pruscy. Wszystko to wywołało w Bawaryi ogromne niezadowolenie. Co do nas,

to nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby Niemcom południowym gospodarka pruska na dobre się wreszcie sprzykrzyła. Jak jest przykra i dotkliwa, my to wiemy najlepiej. Może też wreszcie południowi Niemcy przejrzą i w *sprawie polskiej*, gdy „opancerzona pięść“ pruska spadnie jeszcze silniej na ich karki. Lecz nie łudźmy się zbytnio co do tego!

K. O.

Przegląd prasy.

Ostatnie dni przeżyliśmy pod znakiem *Westfalii*. Sprawa wyborów w Westfalii pogmatwała się raz wskutek zakusów p. Lensinga, centrowego kandydata w Dortmundzie, by spowodować przełom w obozie polskim i zyskać przez to część głosów polskich a powtóre wskutek poparcia, jakiego doznał z strony kilku pism poznańskich. Nic dziwnego, że centrowiec spekuluje na niedojrzałość polityczną Polaków i porusza niebo i ziemię w własnym interesie, ale wprost niepojętą i zdrożną rzeczą jest, że pisma polskie oraz kilku duchownych namawia Polaków do *wyłamania się z solidarności* narodowej, do wysługiwania się germanizatorom i rządowcom centrowym. Ta smutna okoliczność spowodowała rodaków naszych do zwołania *wiecu w Poznaniu*, o którym piszemy na innem miejscu.

Stan rzeczy w Westfalii maluje *„Dzien. Berl.“* w tych słowach:

„Rodacy nasi na obczyźnie westfalsko nadreńskiej doznają w słusznem ich dążeniu do wyzyskania agitacyi wyborczej, do pogłębienia uświadomienia narodowego przez postawienie własnego kandydata, wielkich utrudnień właśnie ze strony *niektórych pism polskich w kraju*, które zapominając, że centrowcy występowali od dawna i występują znowu teraz z odrębnemi kandyturami przeciw polskim kandydatom w Księstwie, Zach. Prusach i na Warmii, uważają za słuszne żądać, żeby rodacy nasi tamtejsi odstąpili od swego kandydata i koniecznie głosowali na kandydatów centrowych.

Z pomiędzy tych kandydatów szczególną rozwija działalność wydawca „Tremonii“ p. Lensing, który dla zdobycia mandatu z okręgu Dortmund-Hörde nie przebiera w środkach i gwałtem usiłuje rozbić jedność tamtejszych Polaków, aby przy pomocy obałamuconych przez niego rodaków naszych wejść na ich krokwiach do parlamentu.

W dążeniu swem doznał niestety także poparcia *ze strony trzech pism polskich w Poznaniu i 5 zinąd bardzo dzielnych księży polskich z Księstwa*, którzy swego czasu duszpasterzowali między Polakami w Westfalii i Nadrenii.

Nie słyszeliśmy wprawdzie dotąd, żeby jacy wybitni obywatele lub duchowni niemiecko-katoliccy z zahodu byli ogłosili odezwy przeciw kandydaturze katolickiego hakatysty w okręgu międzychodzko-skwierzyńsko - szamotulsko-obornickim, albo żeby zalecili Niemcom-katolikom w okręgu wschowsko-leszczyńskim głosowanie tym razem na kandydata polskiego, skoro przed 5 laty Polacy przeprowadzili dobrowolnie kandydata centrowców ks. dziekana Tascha, nie czytaliśmy też w prasie centrowej, żeby była potępiła stawianie odrębnych kandydatów przeciw kandydatom polskio-katolickim.

Dlaczegoż więc właśnie my mamy z tego prawa rezygnować, ile że akcya nasza nie zwraca się wcale bezpośrednio przeciw centrum?“

Dalej podnosi *„Dzien. Berl.“* szczegóły z zebrania 100 wyborców polskich w Hörde, którzy według wydawanej przez p. Lensinga „Tremonii“ oświadczyli między innemi:

„że Polacy w okręgu Dortmund-Hörde tworzą własny komitet wyborczy i *odrzucają wszelkie opiekowanie się nimi t. zw. głównego Komitetu w Bochum.*“

Ultramontański *„Kur. Pozn.“*, wierny sługa Niemców - katolików, nazywa to „ważnym“ krokiem wyborców polskich w Westfalii.

Przewidując, że część Polaków w tym okręgu da się wziąść na lep agitacyi niemieckiej *„Dzien. Berl.“* woła do wyborców polskich:

„Kto się wyłamie z solidarności narodowej, aby wysługiwać się obcym, do tego przylgnie na zawsze brzydka nazwa secesyonisty, a kto łamanie solidarności toleruje, albo ją wręcz zaleca, ten staje się stronnikiem secesyi. Kto ją potępia w kraju, musi ją w większej jeszcze mierze potępiać na obczyźnie, bo ona tu niebezpieczniejszą!“

Jak wiadomo do tej roboty podkopującej solidarność i godność narodową przyłożyło także rękę pięciu księży, którzy nietylko wystosowali odezwę w tym duchu, lecz — jak donosi *„Wiarus Polski“* — wyjeżdżają *teraz* do Westfalii, *„aby nakłonić Polaków westfalskich iżby partyę centrową poparli przy wyborach do parlamentu.“*

Trudno dać wiarę, aby X. Pasztalski miał w celach agitacyi politycznej udawać się do Westfalii i to agitacyi — przeciwko polskiemu komitetowi wyborczemu, polskiemu kandydatowi, jednem słowem — przeciwko polskiej sprawie. Gdyby w zaślepieniu mieli ci duchowni nosić się rzeczywiście z takimi zamiarami, ufamy, że władza duchowna powstrzymała-by ich w zapale. Krok taki bowiem byłby niezgodnym z sukienką duchownego i *wielce niebezpiecznym* w skutkach. Jakoż *„Wiarus Polski*, przestrzega:

„Lud tutejszy, a znamy go z codziennej styczności, szemrze, a zaszemrze bardziej, jeżeli się życzenia tych obcych nam działaczy politycznych spełnią, którzy widzą w przybyciu tych księży zwrot w polityce nieprzychylnej partyi centrowej, a mylnie — sprawy katolickiej. Bo sprawa katolicka zdaniem naszem, *dawnoby przepadła, gdyby jedynie o partyę centrową oparta była, sprawa katolicka nie straci i nie zyska* na wyborach z tutejszych okręgów do niemieckiego parlamentu nic, *ale poszanowanie dla duchowieństwa u ludu, uznanie dla władz świeckich czy duchownych ucierpią*, jeżeli lud spostrzeże, że na zawołanie wrażej mu partyi nie tyle, ile kilkunastu jej niesumiennych przywódców przybywają nawet — duchowni. A około tej partyi skupiły się warcholskie osobniki, które w nas wszystkich nie zaufanie, ale wstręt wzbudzają. Jeżeli, jak centrowcy głoszą, owi księża swą odezwę słowem żywem poprą, to cała ta sprawa tylko tyle zdziałać może, że liczni wychodźcy wracając do kraju, odezwią się: cóż to, księża pomiędzy nami agitować potrafią, nie szczędząc trudu, ale dla sprawy polskiej w kraju, któremu to stanie na odwagę?

Ze wszystkich władz, które nam pozostały, są władze wyborcze. To też niechaj się nikt nie zdziwi, że bronić będziemy z ludem polskim wolności i władzy wszelkiemi prawnemi środkami. Do tego jako obywatele i jako Polacy jesteśmy nawet zobowiązani moralnie.“

Z zadowoleniem podnieść trzeba, że są duchowni, którzy zdają sobie sprawę jasno z skutków, jakie akcya ks. Pasztalskiego i ślepa agitacya na rzecz centrum pociągnąć by mogła. Bardzo trafnie przemawia „X. K.“ w *„Dzien. Pozn.“* (o wiele za trafnie i rozumnie dla tego organu) przedkładając, że

„Sprawy katolickie są nie tylko w centrum, *ale także z równą energią i stanowczością z ław polskich bronione;* jeżeli zatem kto wskazuje na potrzebę obrony interesów Kościoła, to my Polacy ze spokojnem sumieniem możemy powiedzieć, iż pod tym względem maszerujemy razem z partyą centrum w zwartym szeregu. *Polacy niemniej jak centrowcy bronią interesów Kościoła katolickiego.*“

Dalej wykazuje czcigodny duchowny, że głosując na Niemca-katolika nie mamy *„prawie w żadnym przypadku“* tej pewności, iż poseł centrowy będzie „na pewno adwokatem naszych praw i naszych uczuć.“

„Szeregi mężów, broniących interesów Kościoła, nie będą z pewnością ani odrobinę uszczuplone, chociażby ani jeden Polak głosu swego na centrowca nie oddał: będzie prawdopodobnie ta tylko wtedy różnica, że obrońcy ci w większej liczbie zasiadać będą na ławach polskich. *Za to interes i godność narodu naszego zawsze na tem prawie traci, jeżeli głos nasz na innoplemieńca oddajemy. I z tem my się liczyć musimy.*“

Niechaj słowa te wezmą sobie do serca wszyscy nasi wyborcy, a zwłaszcza wyborcy w Westfalii i Nadrenii!

„Dzien Pozn.“ wobec tego załamuje ręce i bezradnie pyta, „kto nas poprze w izbach ile razy będzie nam potrzeba wejść do komisyi, postawić wniosek lub wnieść interpelacyę? Jeżeli nie centrum, to chyba socyaliści. Innej drogi wyjścia nie ma.“ To wszystko co „Dzien.“ ma do powiedzenia, to jedyny powód dla którego każe polskim wyborcom wysługiwać się nadal katolickim hakaty-

słowa! Nie mamy miejsca, aby rozpisywać się nad tym kwiatkiem rozumu politycznego!

Wsteczny „*Wielkopolanin*“ lękał się niezmiernie, aby wiec westfalski nie był „szkodliwym i niebezpiecznym dla naszej sprawy narodowej“ — którą w Westfalii pragnie oddać na łaskę i niełaskę centrum. Adlatus „Dziennika“ lękał się, że zapadnie uchwała w myśl hasła: precz z centrum!

„a wtedy na nas Poznaniaków spadnie odpowiedzialność, iż my podburzamy opinią przeciw centrum, pochwalamy nieroztropne (?) postępowanie „Wiarusa“ i mieszamy się do nie swoich rzeczy.

Jeżeli Związek Polaków na Zachodzie nie chce, pisze „Wielkopol.“ — abyśmy do jego ludzi i do jego polityki się mieszali, to niech nie wścibia nosa tam, gdzie go o to nie proszą.“

„*Wielk.*“ nie chce, aby związek Polaków na Zachodzie wścibiał nos tam, gdzie go o to nie proszą (czego zresztą nie robi, bo pilnuje tylko swych spraw) natomiast pochwala te osobistości Księstwa, które „wścibiają nos“ w sprawy Związku Polaków a nawet namawiają do niesolidarności i nieposłuszeństwa wobec władzy wyborczej!

Pomiędzy *głosami prasy o wiecu* podpadają szczególnie uwagi „*Dzien. Pozn.*,“ który — pominąwszy już to, iż nawet rezolucyi nie umie powtórzyć poprawnie — zebrał tak przedziwną wiązkę nonsensów, że relacyą jego należało by powtórzyć w dziale humorystyki. Widocznie „*Dzien. Pozn.*“ nic już nie rozumie z tego, co się dzieje w społeczeństwie i pracuje nad tem, aby nikt z jego czytelników nie powziął żadnego wyobrażenia o tej sprawie. Więc bredzi o „komedyi,“ o „wszechpolakach“, i przypina łatkę poznańskim przyjaciołom narodowców w Westfalii, tak pisząc:

„Komedya się nie (?) udała o tyle, że uchwały wieca p. Kunzego nie mogą iść na karb społeczeństwa poznańskiego (?) tylko wrócą (?) do Westfalii, jakiemi przyjechały i zaciążą na sumieniu westfalskich prowodyrów i ich wyłącznie wszechpolskich doradzców z Poznania, którzy się koniecznie chcą za każdą cenę dobić znaczenia.“

Następnie udrapowawszy się w togę swej urojonej *powagi*, na którą jak na cały „Dzien. Pozn.“ zakordonowa inteligencya polska wzdryga ramionami z politowaniem — przemawia „Dzien.“ w swem królewskiem „my“ stylem przedpotopowym (który sam jeden zapewnia „Dzien.“ nieśmiertelność w plejadzie humorystów politycznych.)

„*My* w imieniu tej ogromnej większości, która w wiecu *nie mogła i nie chciała* (!) *brać udziału*, oświadczamy, że tej odpowiedzialności na siebie nie bierzemy, skoro nas po spełnionym akcie dopiero pytano o zdanie, a nie przedtem i chciano nas chytrze zmajoryzować. (sic!!)

My wszechpolskiej polityki, jak to tylokrotnie oświadczyliśmy, nie pochwalamy, a wiec wczorajszy bynajmniej nie wpłynął na zmianę naszego zdania, przy całem uznaniu dla dobrej woli naszych wychodźców.“

Nikt nie domagał się od „Dzien.,“ aby „przyjmował odpowiedzialność“ za rezolucye wiecowe; przyjmą ją wszakże żywotne żywioły w społeczeństwie, z któremi zakrzepły „Dziennik Pozn.“ nie ma nic wspólnego.

Kto ma czas i ochotę zastanawiać się nad wyskokami jowiszowego rozumu „Dziennika,“ temu polecamy do rozpatrzenia zdanie, które wypowiada on o rezolucyi domagającej się utworzenia centralnego komitetu wyborczego na całą rzeszę, a która brzmi:

„Ta rezolucya jest wszechpolsko (?) — niedojrzałą — *na nasze siły. (?!!)*“

Po przeczytaniu tej dziennikowej pisaniny cisną się na usta słowa Zagłoby: Panie, Ty widzisz, a nie grzmisz! I wierzymy, że „Dzien. P.“ ma rzeczywiście obecnie jak sam zapewnia, „większe niż kiedykolwiek powodzenie i coraz szersze koło czytelników“ ale — na księżycu.

Nowy *proces wrzesiński* przeciw członkom komitetu o rzekome ułatwienie ucieczki Piaseckiej i Bednarowiczowej rozegra się w Gnieźnie *dnia 15-go czerwca* o godz. 9-tej rano.

Oprócz osób, których nazwiska już podaliśmy — donosi „*Dzien. Pozn.*“

„zasiędą na ławie oskarżonych p. Józef Kościelski i ks. prałat Stychel, których jako posłów prokuratorya pociągnąć mogła do odpowiedzialności dopiero po zamknięciu sejmu. Piasecką przesłuchiwano we Lwowie już dwa razy. Raz zeznała, że opuściła Prusy z własnej woli, drugi raz odmówiła świadectwa. Podobno jeszcze trzeci raz chcą Piasecką przesłuchać. Austryackie prawo nie zmusza nikogo do złożenia świadectwa wbrew jego woli. Według niemieckiego kodeksu karnego, nie potrzebuje zeznawać ten, kto sam siebie mógłby obciążyć.

Drugi proces polityczny odbędzie się również w Gnieźnie dnia 8 czerwca *przeciwko gimnazyastom i akademikom* oskarżonym z powodu uczenia się historyi i literatury polskiej bez wiedzy dyrektora gimnazyum.“

Red.

Głosy od przyjaciół.

Gąsawa, **dnia 20 b. m.**

Wiec przedwyborczy w Gąsawie dnia 17-go maja b. r. zagaił członek komitetu pan Mlicki z Obudna o godzinie pół do 2-giej, dziękując wyborcom za liczne przybycie. Reprezentowane były wszystkie stany. Przewodniczącym wieca wybranym został pan Czarliński ze Złotnik, który do pióra powołał pp. Zdzisława Brzeskiego z Krotoszyna i Wilkansa z Oćwieki, a na ławników pp. ks. proboszcza Niedzielskiego z Gąsawy, Tyblewskiego z Gąsawy, Sołtysińskiego i Buczkowskiego z Szelejewa, Pankowskiego z Sodaw i Michała Spornego.

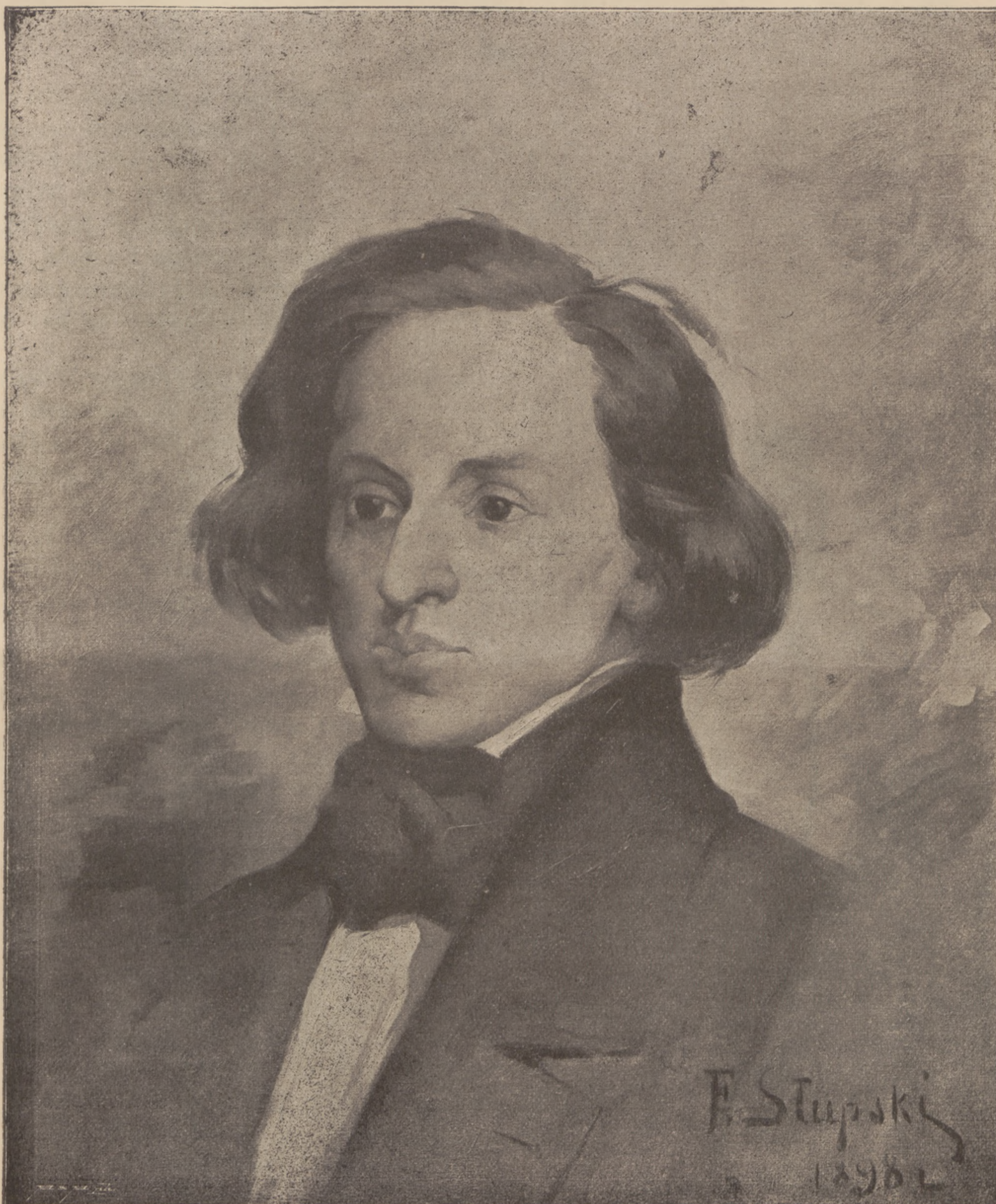
Naukę o wyborach wygłosił następnie p. Julian Brzeski z Krotoszyna, wyjaśnił zebranym jakie mamy obowiązki i jakie prawa wobec władzy, a na przykładach wykazał co to jest oświata polityczna i uświadomienie narodowe.

Mówił o wadach naszych narodowych, lenistwie, tchórzostwie, pieniactwie, karciarstwie i pijaństwie. Wspomniał dość obszernie o kongresie antyalkoholicznym w Bremenie, gdzie skonstatowano, że całe Niemcy przepijają 3000 milionów mrk., a z tego przypada na nas Polaków 200 milionów mrk., liczba jaką wyznaczyła komisya kolonizacyjna na wykupienie ziem polskich. Za piękną i przekonywującą mowę podziękowano mówcy trzykrotnie „Niech żyje.“

Jako drugi przemówił ks. prob. Matyaszczyk z Barcina o wielkiej oszczędności, której u nas brak, natomiast ubóstwo coraz większe się szerzy spowodowane brakiem pobożności, brakiem oświaty — brakiem oszczędności — marnowania czasu i procesowania się. Uczy do czego prowadzi rozsądna oszczędność, jak trzeba z groszem się obchodzić składając choćby drobne oszczędności w kasach oszczędności, jakiemi są nasze banki ludowe, przytacza statystykę, według której n. p. Saksonia ma na 100 mieszkańców 32 książki oszczędności, a nasze Księstwo 6. Pomagajmy sobie sami, a Bóg nam dopomoże. Zebrani wysłuchali z uwagą tych trafnych wskazówek i przyjęli mowę serdecznie. Następnie pan Kozłowski z Słembowa zabiera głos do organizacyi wyborczej mianując mężów zaufania na poszczególne miejscowości i objaśnia dokładnie o ile powiat żniński głosuje z powiatami szubińskim — mogileńskim i wągrowieckim co dla wiecowników było bardzo ważną rzeczą. Przy wolnych głosach zabierają głos pp. Szczepański, Brzeski i Kozłowski w rozmaitych sprawach wyborczych. Pan Malczewski z Młodocian wzywa wyborców, aby nie dali się przekupić lub namówić do oddania karteczki na obcoplemieńca, co niestety się w owych stronach zdarzało.

Po wyczerpaniu porządku dziennego salwował liczny ten wiec przewodniczący o godzinie 5-tej.

Komitet.



przez F. Słupskiego.

W. Chopin.

Dział illustrowany

Na dzień Zesłania świętego Ducha.



O! Jezu Chryste! popatrz z niebiosów
Na polski naród! Z stuletnich burz,
Tyle on wyniósł okrutnych ciosów,
Że dalej cierpieć nie umie już.
O Jezu Chryste! w litości bożej
Spojrzyj na niego i wstrzymaj gniew;
Niech zejdzie z gruntu zgniłych bezdroży,
Na którym rośnie szatański siew!

Na szczyt Golgoty już swego krzyża
On nie doniesie — ciśnie go sam,
Im bardziej do kar kresu się zbliża
Tem więcej widzi w pochodzie jam...
Z których mu szepcą szatańskie wycia:
„Gdzie idziesz ślepy! cofnij się z dróg;
„Tam ci nie wrócą **dawnego życia**,
„Na zatracenie skazał cię Bóg!"

Miłość braterska w wspólnej niedoli
Owa jedyna odporna moc;
Jak mgła wiosenna niknie powoli
Gdzie światła trzeba — czernieje noc.
Szatan **niezgodny** dusze rozpruwa
Naród się dzieli w atomów wir;
Grunt **życia** pod nim wciąż się usuwa,
Świat nad nim w koło roztacza kir!

Cóż w tem dziwnego? Na chleb powszedni
Jak kto pracuje, tak czci go świat:
W piękną nas stroją liberyą jedni,
Jak bydło smaga gdzieindziej bat.
A my kontenci... Mówki się pali
Jak dziś w cześć gości miast pojąć już,
Że Czesi czem są, czem będą dalej
To zawdzięczają: **braterstwu** dusz!

O Jezu Chryste! zła dola straszy...
Szatański siew też wyrasta w krzew,
Lew lwów pierw rodził na ziemi naszej,
Ropuchy rodzi dzisiejszy lew!...
Świętego ducha zeszlij o Chryste!
Bratnią miłością niech natchnie nas —
Niech wzrosną w siłę cnoty ojczyste,
Bo przyjdzie śmierci straszliwej czas!!!

D.

Uroczystość Zesłania Ducha Świętego na Apostołów jest nietylko bardzo ważnem świętem kościelnem, ale jest nadto najpiękniejszem i najsympatyczniejszem świętem w całym roku, bo świętem uroczej, cudnej wiosny, świętem kwitnących bzów i konwalii.

W Zielone Świątki cała przyroda po śnie zimowym budzi się do życia pod zielonym znakiem nadziei i przemawia wymownie do serc naszych, że i nam wolno po dniach posępnych cierpień, niewoli i pracy bez wytchnienia — odetchnąć i odpocząć, myśl ku lepszej przeszłości zwrócić i nadzieją się poić...

Więc w górę serca! Niechaj opadną chmury przygnębienia, niech pod białem skrzydłem anioła nadziei zniknie upiór zwątpienia i rozpaczy! Kto za dobrą sprawę walczy, ten nadziei tracić nie powinien, bo wcześniej lub później zwyciężyć musi.... Wtenczas rozstąpią się czarne chmury i wyjrzy złociste słonko, a promienia jego uśmiechać się będą do żyznych łanów, do wolnych łanów zmartwychwstałej Ojczyzny......



Wesołych Świąt!

—skł.

Źródło natchnienia Chopina.

Napisał Zygmunt S. Słupski.

Pochylmy czoła! Geniusz nadchodzi! Tak pierwszy z Niemców wołał Robert Schuman.

Ale czoła się nie pochylały, bo tłum małych, zazdrością lub szowinizmem oślepionych dusz, nie chciał nowego geniusza polskiej ziemi, ni dostrzedz ni też uznać.

A jednak to przecie nie żadne złudzenie. Schuman się nie mylił; bo owo nad Wisłą wschodzące światło, to nie błędny, nie jakiś sztucznie zapalony ognik, ale prawdziwa, wspaniała gwiazda, świetny Orfeusz polski, gwiazda, której promienie, szeroko niebawem horyzont sztuki ogarną. Niezrażony przeto oporem rodaków, Schuman pewny swego, wciąż powtarza jedno, a żona jego Klara, (z domu Wick,) wtórując mężowi, z równą odwagą pierwsze to światło obcej gwiazdy, wszędzie po Niemczech roznosi, szerząc tam chwałę nowego geniusza.

Geniusz ten, bezwątpienia, i o własnych skrzydłach, prędzej czy później, wzleciałby nawet i po nad niemieckie poziomy, wypada jednak zaznaczyć dobrą wolę tej pary jego apostołów.

Ale, nakoniec, tak czy inaczej, tryumf prawdy, którą oni głosili, jest dziś zupełny. Tłum niewiernych drobnowidzów, dawno już bez śladu znikł w przepaści czasu, a świat jeszcze na samo tylko wspomnienie Chopina, kornie i nizko czoła pochyla i wiecznie pochylać je będzie. Już z górą od pół wieku na ziemi go niema, ale z jego świetnej gwiazdy, tyle nam w spuściźnie zostało jasnych i ciepłych promieni, że i po jej zachodzie, wciąż jak słońca, świecą i grzeją; a pono nigdy nie zagasną, bo imię tej gwiazdy: Nieśmiertelność!

A któż to mu, nad czołem, tę wieczną, nigdy niegasnącą gwiazdę zapalił? Kto mu dał tę potężną moc kruszenia

ludzkich serc? Kto na polskiej duszy czarodzieja-mocarza, zawiesił te złote, eolskie struny, co nam tyle arcydzieł wyjęczały, tyle łez wyciskają, tyle szlachetnych budzą uczuć? Czyjeż to mistrzowskie palce w nie trącały, aby z nich przemówić tak słodkim, jeszcze nie znanym światu językiem takiego bólu i tęsknoty, takiej harmonii i piękna? Czyjaż to ręka złożyła w tej duszy tyle skarbów uczucia, powagi i humoru, z których ten polski arcykapłan sztuki, tkał swoje polonezy i mazurki, swoje niezrównane nokturny i ballady?

Echo odpawiada: Naród.

Tak — naród, jego własny naród.

Bo i tego olbrzyma dusza, to dusza narodu; to ten sam Mickiewiczowski milion, tylko, że zaklęty w tony, które z liry mistrza w daleki świat wcią po rosie łez płyną i płyną szeroko.

Naród więc — to owo z taką mocą i tak wysoko tryskujące źródło jego natchnienia. A wspominam o niem jak o rzeczy pewnej, bo już odkryte i nawet przez obcych uznane. Ta geneza twórczości Chopina tak niezaprzeczona jak i jego wielkość. Chcąc mówić o niej, spróbuję najpierw zaznaczyć stanowisko mistrza wobec świata i własnej ojczyzny.

* * *

Przewroty w zakresie politycznych i społecznych pojęć, nie mogły pozostać bez znamiennego wpływu na literaturę i wzajemnie.

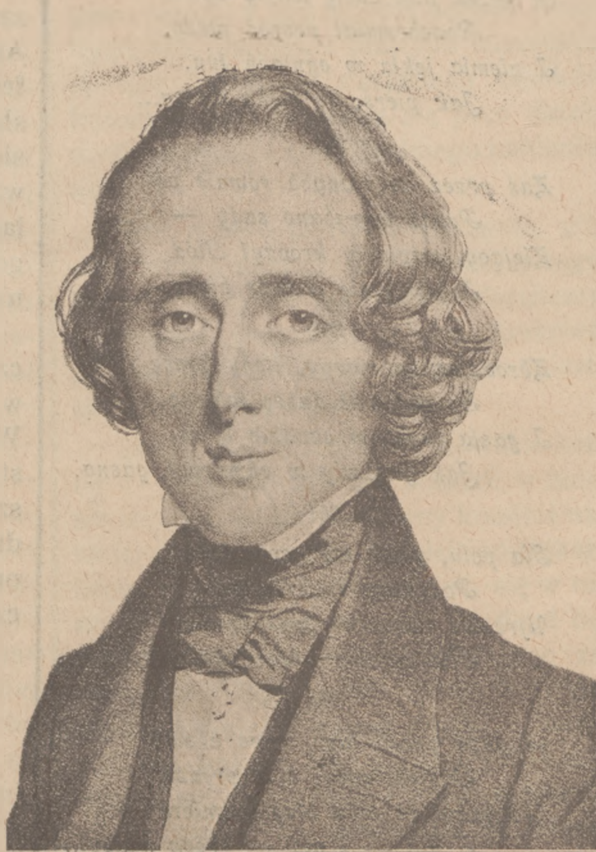
A koniec zeszłego stulecia stanowi tę epokę. Wśród zamieszania i zgrzytu gilotyny, pęka też skorupa odwiecznych nawyknień i uprzedzeń — wszędzie zaczyna już kwilić nowy duch czasu. —

Ale nad kolebką noworodka zawisła żelazna dłoń małego kaprala — i znów cisza. Ludzkość oślepiona gwiazdą tego bożyszcza, o niczem więcej nie myśli. Jej pieśnią teraz huk dział, literaturą tej doby — okrzyki wojenne, i wieści z placu boju.

A gdy nareszcie umilkł szczęk oręża, okiełznany na chwilę duch człowieczy, znów targa wędzidła i rwie się do lotu po nad poziomy — i oto znów brzmi pieśń przerwana. Nowe prądy myśli coraz bardziej podmywają chwiejące się już mury starego świata.

A zda się, sama Opatrzność błogosławić tej pracy około odrodzenia. Niwę życia przyszłości, użyźnia istny deszcz gwiazd pierwszej wielkości. Byron, a w 10 lat później, aż kilku naraz rodzi się geniuszów, by skutecznie walczyć za nowy na Parnasie zatknięty sztandar.

U nas Mickiewicz zastał już rolę dobrze pod nowy ten posiew myśli przygotowaną. Rola ta zresztą już z natury swej była aż nadto dla ziarna romantyzmu podatną. Polska bowiem — *ta okrwawiona, załzawiona Polska* — opłakująca wtedy swój upadek, już z samej potrzeby ukojenia i pociechy w bólu, gościnnie otwierała progi nowym ideałom. Stąd w imię szlachetnych uczuć przemawiający Byron, znalazł tam posłuch szerszy może niż gdzieindziej, szerszy nawet niż u swoich. Wpływ jego tak głęboko, tak nawskroś przeniknął duszę tego narodu w żałobie, — narodu wciąż żyjącego tylko wspomnieniami chwały i nadzieją — że nawet jeszcze dziś niemałe szczątki tego wpływu widzimy w naszej literaturze.


F. Chopin podług Ary Scheffera.

Ale mimo tak sprzyjających warunków, nawet i u nas nie zaraz broń złożyły liczne i tradycyą silne zastępy obrońców straconej sprawy. Romantyzm musiał jeszcze długi i zacięty toczyć z nimi bój, który słusznie Stuart Mill nazywa walką wolności z powagami.

Stało się jednak co się stać musiało: powagi uległy duchowi czasu, i zwycięzki romantyzm tryumf na całej linii święci.

A pożar tej walki, z natury rzeczy musiał także ogarnąć sąsiadujące z literaturą dziedziny sztuki — ale w świecie muzycznym, o którą mi tu chodzi, wolniej się szerzył.

Już, co prawda, w Beethowenie tym książęciu klasyków niemieckich, zda się nowe świtać życie, ale prawdziwym jego pionierem miał być dopiero genialny Schubert.

I na tem polu obeszło się bez starcia, ale że i tu epoka poprzedzająca walkę,


Marya Wodzyńska, późniejsza hr. Skarbkowa, 2-o voto Orpiszewska, ciotka pana Józefa Kościelskiego z Miłosławia, w której się kochał Chopin a później Słowacki. (Reprod. portretu, wykon. podług jej rysunku).

płodną była w geniusze, nie zabrakło więc obrońców nowych ołtarzy.

Tak samo, prawie jednocześnie, i tu rodzi się aż 3, po Beethowenie największych muzyków — Mendelsohn, Schuman i nasz Chopin. Każdy z tych rówieśników, niemało się do zwycięztwa przyłożył, ale naszemu rodakowi nadto przypadł w udziale zaszczyt, ukończenia walki. Przed nim to bowiem ukorzył się wreszcie i sam Paryż, ta wyrocznia dobrego smaku, ta najważniejsza i najsilniej broniona twierdza klasycyzmu, a raczej pseudo-klasycyzmu.

I oto świat zapisał w kronikach nowy przełom pojęć. Tryumf odnosi ten sam geniusz, którego nieśmiertelne dzieła jeszcze wczoraj z przekąsem nazywano „muzyką szpitalną," a nowa jego nauka „graj jak czujesz" wydała się wprost herezyą w oczach oburzonych „powag."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„W dolinie łez..."

Pamięci Artura Grottgera.

A kiedyś marzył w cichym śnie
Wieczyste Piękna światy,
Objawił Ci się biały duch,
W powiewne strojny szaty..,

Objawił Ci się biały duch,
A gwiazdę miał u czoła —
I usłyszałeś cichy głos,
Co z dna otchłani woła...

„Z ogrodu snów w dolinę łez
Za moim pójdź przewodem;
Niechaj Ci serce szarpie Ból,
Niech Strach je mrozi chłodem.

W obliczu Grozy ze mną stań
I patrz na Nędzę ziemi —
Rozdzieraj szaty, życie tam
I łzami płacz krwawemi."

I porzuciłeś cudny świat,
Tęczowy świat marzenia,
I szedłeś cicho w ową noc
Białego śladem Cienia...

A nad Twą głową straszny znak
Zapalił się na niebie,
I uroniłeś pierwszą łzę
Na dwojga serc pogrzebie...

Padł los okropny — nadszedł dzień
Gorzkiego pożegnania..,
Odjeżdża rycerz w mroźną dal
Od szczęścia i kochania.

A przed nim zasię wojny zgiełk
Rozebrzmiał pośród ciszy,
I ziemia jękła w ogniach łun,
Jak pierś, co męką dyszy...

Zaś przez zdeptanych równie pól,
Przez wyrąbane sady —
Ziejący, wściekły kroczył Głód
I wlókł się Pomór blady.

Zbrodzień za marny, lichy grosz
Sprzedawał duszę własną,
I gasła litość w czadzie krwi
Jak gwiazdy w chmurach gasną.

Na polu, gdzie się gęsty trup
Pod kosą śmierci wali,
Ujrzałeś ludzi — braknie słów —
Nie ludzi — lecz szakali!..

A gdyś przed nimi uciec chciał
Gdziekolwiek, byle prędzej,
Wszędzie za tobą biegła śmierć —
I nic — i nic — prócz nędzy...

Aż wreszcie za świątyni próg
Gdy Cię zagnała trwoga,
Ujrzałeś — czemu milczy grom? —
Znieważonego — Boga!..,

I taki Cię przytłoczył wstyd,
Takie boleści brzemię —
Żeś przeklął cały ludzki ród,
To — Kainowe plemię...

. . . .

O Mistrzu!... Posiew Twoich łez
Zaiste — nie stracony...
Może niedługo błyśnie dzień,
Gdy wydać bujne plony...

Na wieki wówczas zmilkną już
Zawziętych gniewów szały
I mi ość wzniesie ponad świat
Pokoju sztandar biały...

Leon Rygier.

Cześć Grottgerowi.

Na plantacyach krakowskich, naprzeciw nowego gmachu Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, wśród kwitnących drzew i krzewów, odsłonięto w sobotę, dnia 16 bm. pomnik *Artura Grottgera* twórcy: „Wojny", „Polonii" i „Lituanii".

Wielkiemu temu poecie cierpienia, który genialnym ołówkiem utrwalił bóle narodu, płynące z niezmiernego ukochania tej, „która nie zginęła i nie zginie" — dawno już należał się widomy znak wdzięczności i hołdu narodu. Spełniając ten hołd wdzięczności, prastary Kraków dał dowód ponowny, że jest zawsze jeszcze duchową stolicą narodu. Akt odsłonięcia pomnika stał się manifestacyą narodową, prawdziwie podniosłą i majestatyczną. Jakby dla podniesienia nastroju i barwności obrazu, towarzyszyła mu pogoda majowa, złocąca jasnemi promieniami słońca miejsce, gdzie oczom zebranych tłumów miał się ukazać pomnik wielkiego artysty.

Od wczesnego ranka tłumy publiczności zalewać poczęły plantacye i plac w koło gmachu Tow. sztuk pięknych. Wejścia do gmachu strzegła szpalerem stojąca miejska straż pożarna, a młodzież szkół średnich zwolniona od nauki w tym dniu uroczystym otaczała go kołem w ordynku wojskowym z swą orkiestrą na czele. Po nabożeństwie za duszę Grott-



Artur Grottger,
nieśmiertelny artysta-rysownik, który nakreślił tragiczne dzieje powstania narodowego z 1863 r., twórca cyklu „Polonia", „Lituania" i „Wojna."
Urodzony 1837, umarł 1867.

gera, odprawionem w uniwersyteckim kościele św. Anny przez prałata ks. *Bukowskiego*, przybyła rodzina artysty, otoczona licznem gronem przedstawicieli krakowskiego świata artystycznego i naukowego oraz delegatów zamiejscowych,

W pięknie udekorowanej głównej sali gmachu sztuk pięknych odbyła się następnie uroczysta *„akademia"* na cześć Grottgera. Na tylnej ścianie widniał na tle zieleni biust tego, dla którego w tej chwili tak gorąco biły serca tylu tysięcy zebranych. Pierwsze rzędy krzeseł zajęła rodzina artysty, p. Jarosław Grottger z siostrą p. Sawiczewską i dziećmi, dalej obok delegata namiestnictwa p. Federowicza dostojnicy krakowscy, delegacya Rady miasta z prezydentem Friedleinem na czele, profesorowie uniwersytetu i Akademii sztuk pięknych, członkowie komitetu budowy pomnika, artyści - malarze krakowscy z rodzinami, przedstawiciele dziennikarstwa i teatru, delegacye itd.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, ukazał się na mównicy prezes Akademii umiejętności, hr. St. *Tarnowski*, aby zagaić ten wielki obchód wdzięczności narodu. Rozpoczął on mowę swą cytatem z pamiętników Grottgera, który brzmi: „Za-

dumałem się i wstrząsnąłem w myśli, jakbym patrzał z daleka i widział cierpienia i zbrodnie.“ Z tego zadumania artysty nad niedolą Ojczyzny — wywodzi mówca dalej — wyszło dzieło wielkie, wyszedł talent i zasługa, wyszedł wreszcie i ten pomnik. Mówca przebiegł kolejno całą twórczość artysty i podniósł najwybitniejsze jej cechy. — Żaden z artystów polskich nie połączył w tym stopniu uczuć narodowych z natchnieniem, jak Grottger, żaden nie wzniósł się do tego napięcia boleści, jak twórca „Polonii“. Wykładnikiem jego myśli była poezya nieszczęścia, natchnieniem ból Ojczyzny, ogrom uczucia, tajemnicą niezrównanego wpływu: szczerość, prostota i wdzięk. On służył sprawie a nie fałszywym bożyszczom, twórczość jego była rzetelną, wzniosłą i natchnioną. — W historyi sztuki polskiej zajmuje on miejsce osobne, wysokie, bo miał własne piętno, odróżniające go od innych. Łącznie z Matejką reprezentuje on najświetniejszy wzlot sztuki polskiej, reprezentuje pierwiastek uczucia, którem trafiał do serc i tem zdobył miłość narodu, jako ten, który odczuł bicie jego pulsu.. ..



Wacław Szymanowski,
twórca pomnika Artura Grottgera w Krakowie.

Po przemowie hr. Tarnowskiego udali się zebrani szpalerem przed pomnik, gdzie nastąpiło odsłonięcie.

Po odśpiewaniu przez chór Towarz. muzycznego i chór akademii kantaty „Gaude Mater Polonia,“ zabrał głos przewodniczący komitetu pomnikowego, artysta-malarz *Piotr Stachiewicz* i streściwszy historyą zabiegów około uwiecznienia pamięci Grottgera tym pomnikiem, dał znak do usunięcia zasłony.

Oblany światłem słonecznem ukazał się teraz oczom tłumu spiżowy wizerunek Grottgera. Jest to dzieło *Wacława Szymanowskiego:* wielkich rozmiarów biust na wysokiej kamiennej kolumnie. W śmiało zarysowanych, energicznie modelowanych rysach twarzy jego, widnieje myśl i natchnienie, rysuje się piętno geniuszu. Same rysy twarzy odznaczają się uderzającem podobieństwem i wyrazem pewnego uduchowienia. Z biustem łączy się myślowo u stóp kolumny wielka płaskorzeźba w stylu modernistycznym, z przedziwną modelową ną finezyą, wyobrażająca geniusz Grottgera, płaczący nad niedolą narodu. Ruch figur, ich rysunek i plastyka znamionują rękę świadomą wszystkich tajników kunsztu i przedstawiają się jako dzieło myśli twórczej i niepośledniego natchnienia.

Gdy minęło pierwsze wrażenie, gdy oczy tłumu nasyciły się widokiem tego, którego wszyscy tak bardzo kochamy, przemówił prezydent miasta Krakowa, p. *Friedlein,* dziękując w imieniu miasta za tę nową jego ozdobę.

„Pełni wdzięczności — mówił w końcu — przyjmujemy ten pomnik w imieniu miasta, jakim szanowny komitet nas obdarza, a który tak znakomicie powiększa liczbę pamiątek, mieszczących się w naszych murach, zapewniając, iż dbać będziemy z całą starannością o jego zachowanie. Będzie zaś widok tego pomnika wzbudzać w *nas otuchę i wiarę w lepsze narodu losy, bo tam, gdzie kraj wydaje na polu sztuki i nauki mężów tej miary, tam o jego przyszłość spokojnym być można!*“

Akt urzędowy był skończony, teraz rozpoczął się rozrzewniający hołd publiczności, hołd narodu. U stóp pomnika zaczęto składać wieńce i kwiaty, a gdy z nich tworzyła się prawdziwa góra barw i zieleni, zabrzmiały z ust chóru dwie nasze pieśni bólu i wiary: „*Z dymem pożarów*“ i „*Jeszcze Polska nie zginęła*!“

I zaprawdę! Naród który tak umie cenić i kochać swych wieszczów oraz ideały swoje — *nie zginie*!

Galicyanin.

BEZ.

Kwitnie to w najrozmaitszych barwach, biało, czerwono, lila, a zawsze pachnie tak silnie, że wonią swą przestrzeń na kilkadziesiąt kroków naokół zalewa. A poczciwe to, bo poczciwe, czy jako krzak, czy jako drzewo. Kto się nad nim nie znęca i kto poczciwości jego nie nadużywa?

Rośnie i rośnie, choć co roku dzieci i starzy szarpią brutalnie jego gałęzie i rwą bukiety kwiatów bez litości. A nie jest to gospodarka lwa, który zabija tylko na potrzebę chwili. Nie, przypomina to raczej lamparta, który morduje dla samego krwi widoku i rozlewu. Zamiast urwać pęk kwiatów i rozkoszować się ich widokiem i wonią, młodzi i starzy rwą ogromne bukiety, stosy całe wonnych kiści, na to tylko, aby je rzucić w błoto przy pierwszym gwiździe kolejki, wchodzącej na stacyę.

Poczciwy bez znosi to wszystko. Rozrasta się z roku na rok coraz wspanialej i z roku na rok obfitszą daje ludziom z kwiatów swoich daninę.

Niekiedy w samotnym parku lub miejscowości podmiejskiej ujrzycie widok taki: człowiek jakiś, błądzący dotychczas bez celu, nagle staje, zrywa pęk kwiatów bzu i wtula w nie swoje oblicze. Kwiaty pieszczą skroń jego w jedwabistem dotknięciu, krople rosy chłodzą jego rozpalone czoło, a cudny zapach daje chwilę haszyszowego zapomnienia.

Jest to napewno człowiek, któremu źle na świecie, więc przyszedł szukać u poczciwych kwiatów bzu pieszczoty, ochłody i ukojenia..,

X.



Pomnik Artura Grottgera,
odsłonięty na plantach w Krakowie dnia 16 bm.

Pod Lipskiem.

(Urywek z całości p. t. „W tym roku.“)

Trzeci dzień wyły działa i marły gwoździone
Broni ręcznej i męstwu zwierzając obronę;
Więc cesarz kazał naszym ....
Wróg zewsząd osaczał,
Czołgał się pagórkami, na doliny staczał,
Zaciągając półkolem z południa i wschodu
Sznurami zwartych kolumn, jak siecią niewodu
Coraz ciaśniej ....
Aż sięgnął skrzydłami wylotu
Bram miasta, pragnąc przeciąć drogę do odwrotu
Orłom zdziesiątkowanym przez ołów i zdradę....
Więc cesarz nam osłonić kazał rejteradę
Póki za most ostatnie nie przeciągnie działo,
Nam kazał! z stutysięczną zmagać się nawałą,
Bo wiedział, że z tych ludów na krwawej płaszczyźnie!
My jedni szliśmy za nim z myślą o Ojczyźnie!
Więc — rzucił wielką miłość macierzystych progów,
Jako ostatni wystrzał, przed szeregi wrogów!
Dniało już... Słońce weszło na horyzont chmurny
Ziemia dymiła na kształt zapalonej urny
Ofiarnej nad stosami poległych i rannych —
Bój trwał... Strzały padały w salwach nieustannych,
Żołnierz mierzył brnąc w miazdze ciał, krwi i ołowiu,
Klękał, broń na zastygłym opierał tułowiu —
Zabijał i sam ginął wśród granatów blasku,
Osypany pociskiem, jak grudkami piasku,
Zanim mu krew przelaną zapłacono krzyżem ....
Nieprzyjaciel parł naprzód świecąc armat spiżem...
Już dzwoniła po murach kartaczy ulewa
Rekoszetem w lipowe uderzając drzewa,
Już widać było z blizka tłumy kajzerlików
Biegnące w przełaj ogniem zarzucanych szyków —
Gdy adjutant sztabowy nadbiegł do szeregów
Stojących prawym flankiem na prost Plejssy [brzegów —
Z rozkazem: że ma bronić miasto od zajęcia
Korpus ósmy, będący pod dowództwem księcia.
Książę - wódz przyjął rozkaz nie wyrzekłszy słowa.
Skinął... Rozbrzmiała krótka komenda wojskowa —
Zsiadł z konia, ręką wskazał ku Peterskiej bramie
I wziąwszy krok podwójny, biegnąc ramię w ramię
Wiódł sam garść wiary w ogień, pogodny, spo- [kojny —
Rzekłbyś: danser z danserką na salonach wojny.
Uderzono pierś o pierś;
Drugi pułk piechoty
Zepchnął wroga bagnetem i osadził płoty.
Piętnasty pod Rybińskim, licząc ludzi dwieście
Dopadł bramy, łańcuchem osłonił przedmieście
I prażył następując....
A tak dobrze celił,
Że wnet się plac od białych mundurów zabielił
I szyki Colloreda wysunięte klinem
Zwinęły się jak owad lany wrzątku płynem
W kłęb — warcząc, zostawiwszy śmierci na zagładę
Z ciał ległych i ranionych krwawą barykadę!
Robiło się przestronniej, lecz bój wrzał zażarty.
Książę mając w odwodzie Nadwiślański czwarty,
Dojrzawszy, że ćma jazdy szarżuje w podskokach,
Ostatnie bataljony podniósł w czworobokach,
A sam pluton krakusów wysunąwszy szpicą,
Pognał wichrem, uderzył w środek błyskawicą!
Rozdarł!
Pluton zawrócił w łuce przeciwnika
Tnąc w odlew....
Rozległa się w krąg melodya dzika
Wystrzałów, chrzęstu stali, cięć, jęków, tętentu,
Klątw, krzyków... Czasem sygnał zadzwonił z od- mętu,
Czasem konie bez jeźdźców przełamawszy szereg,
Rżały....
W dymach przebiegał oddział furażerek,
Migocąc wśród zielonych mundurów i czaków,
Niby w koszonej łące pęk rozkwitłych maków!
Leciał... tratował... Z kopyt bryzgała krew, mózgi!
Książę nie dobył szabli; siekł pręciem spicrózgi!
W pyski zabiegających mu drogę huzarów,
A ci, zdzierając konia, ślepli jak od czarów!
Niebo spojrzało chwilę słońcem z pod Austerlic
Na pokotem leżący stos ciał, broni, terlic,
Jakby chcąc się napatrzeć tej walce olbrzymów —
I znikło przysłonięte nowym słupem dymów!
Z boków od lewej strony ryknęło dział dwieście
W Halską bramę!
Wróg wtargnął, bój toczył się w mieście,
Kolumny sprzymierzonych, zalawszy ulice,
Złamały Macdonalda i parły ku rzece....
Nagle ziemią zatrzęsło jak w sądu godzinę!
. . . .
Książę drgnął... spojrzał... pojął.... wspomniał Berezynę!
. . . .
Jęknął huk jakby samo piekło biło w dzwony!
Most wyleciał w powietrze....
„On“ był ocalony,
Bezpieczny za nurtami wezbranej Elstery....
Tu marli ci z pod Novi! Wagram! Somosiery!
Ci wierni....
Stwórca wejrzał w przeznaczenia księgi
I zesłał śmierć walecznym — zwalniając z przysięgi!

Kazimierz Laskowski.

„ZIELONE."

— Zielone?

Takie pytanie rzucił młody chłopak, a dziewczę, oczywiście z „buzią jak malina", zaczęło szukać w kieszeni, a potem pośród kartek książki za owem „zielonem."

— Nie ma „zielonego," wygrałem, wygrałem! — powtarzał uradowany chłopak.

Dziewczyna zakłopotana przerzucała bezładnie kartki w książce, aż wreszcie wydostała upragnione „zielone," składające się z kilku liści, podniosła je w górę i zawołała:

— Jest!

— A czy świeże? — pytał chłopak, oglądając liście tak dokładnie, że dotykał ustami rączki dziewczęcia.

— Swieże — odpowiedziała dziewczyna. — Ale proszę nawzajem także o „zielone."

W odpowiedzi chłopak wskazał na pęk zieleni, przypięty do surduta w okolicy serca mówiąc z miną wielce filozoficzną:

— Czy przegram, czy wygram, równie będę szczęśliwy.

I poszli oboje, a ja, mimowolny świadek tego spotkania, usiadłem na ławce pod drzewem i zacząłem rozmyślać nad tą grą, która dzisiaj zyskała sobie miano staroświeckiej. Wspomnienia z dawnych lat cisnęły się do głowy i serca, jakby niesione powiewem lekkiego wiatru.

— A nad czemże asan tak duma? — odezwał się tuż nad mojem uchem tubalny głos pana Franciszka, profesora.

— Nad „zielonem," — zielonem odpowiedziałem, trochę obrażony niepożądanem zjawieniem się towarzysza.

— Ho ho, marzenia o niebieskich migdałach — mówił profesor, siadając obok mnie na ławce i wyciągając nogi, nie wiele grubsze od laski akademickiej. — A może i nie migdały? Co? Dlaczego gra w „zielone" ma być gorszą od preferansa, któremu ludzie poważni oddają się każdego prawie dnia, a raczej wieczora, przez długie lata?

„Gra w „zielone" jest tak stara,
Jak ludzkiego serca bicie...
Zawsze jakaś młoda wiara,
Sny goniąca po błękicie,
Zawsze ufność w słońca świty,
Wśród jesiennych dni zawiei
Pokazuje niespożyty
Wiecznie świeży liść nadziei. ."

— A wiesz kto tak powiada? — zapytał pan profesor.

— Nie wiem.

— Konopnicka, a jakże. Ta sama Konopnicka mówi także:

„Ja sam nie wiem, jak to było,
Rzęski miała opuszczone,
Słońce w gaj nas zapędziło
I tak przyszła gra w „zielone."

Spojrzałem w twarz profesora i mimowoli parsknąłem śmiechem. Z rozczulenia skrzywił tak pociesznie zwiędłe oblicze swoje jak gdyby wypił szklankę centuryi.

— Nie śmiej się!... A zresztą śmiej się: wszystko mi jedno — rzekł profesor. — Co ja winien temu, że na świecie wszystko można udać i podrobić, wszystko, wszystko: uczciwość, sławę, talent, majątek, wszystko prócz jednej, jedynej... miłości? Co ja temu winien?...

Spuścił głowę i milczał, a ja nie spoglądałem już na twarz jego, brzmiało mi bowiem w uszach to czarowne hasło „młodość."

Po długiej chwili milczenia, profesor cichym głosem zaczął deklamować:

„Przegrać, czy wygrać za jedno mi było,
Bom wiedział, że już nic mi się nie zmieni,
Żeśmy ku sobie porwani tą siłą,
Co pąki pędzi z majowej zieleni,
Srebrzy stokrocie i róże czerwieni...
Przegrać, czy wygrać z tą moją z tą miłą,
Jedno mi było..."

— I to również napisała Konopnicka — dodał z uśmiechem, jakby pobłażając mojemu nieuctwu. — Niechże jej Bóg da zdrowie za to!

Przypomniały mi się słowa, tak niedawno wypowiedziane przez chłopaka do dziewczyny: „Czy przegram, czy wygram, równie będę szczęśliwy." Może ów chłopak znał wiersz Konopnickiej, ale w owej chwili, gdy spoglądając w oczy dziewczęcia, mówił, że w każdym razie będzie szczęśliwy, nie myślał o tem, co już dawniej wyrzekła poetka:

„Przegrać, czy wygrać z tą moją, z tą miłą,
Jedno mi było..."

Nie popełnił plagiatu, wcale nie, to jeno młodość i genialność jednakowo się wyraziły.

— Zostańcie sobie tutaj, a ja pójdę na lekcyę — rzekł profesor i powolnym krokiem poszedł w stronę gimnazyum.

A wiatr lekko powiewał i niósł za nim woń czeremch, które właśnie zakwitły.

H. Josse.

W „zielone".

Dziewczyno! grajmy w „zielone",
Nad nami słońce i maj!
Lub lepiej.... żarty nn stronę,
Z ufnością rączkę swą daj!
Po kwietnim pójdziem kobiercu
Przez czar, zachwyty i raj...
I, marząc serce przy sercu,
Uświęcim: wiosnę i maj!

El.

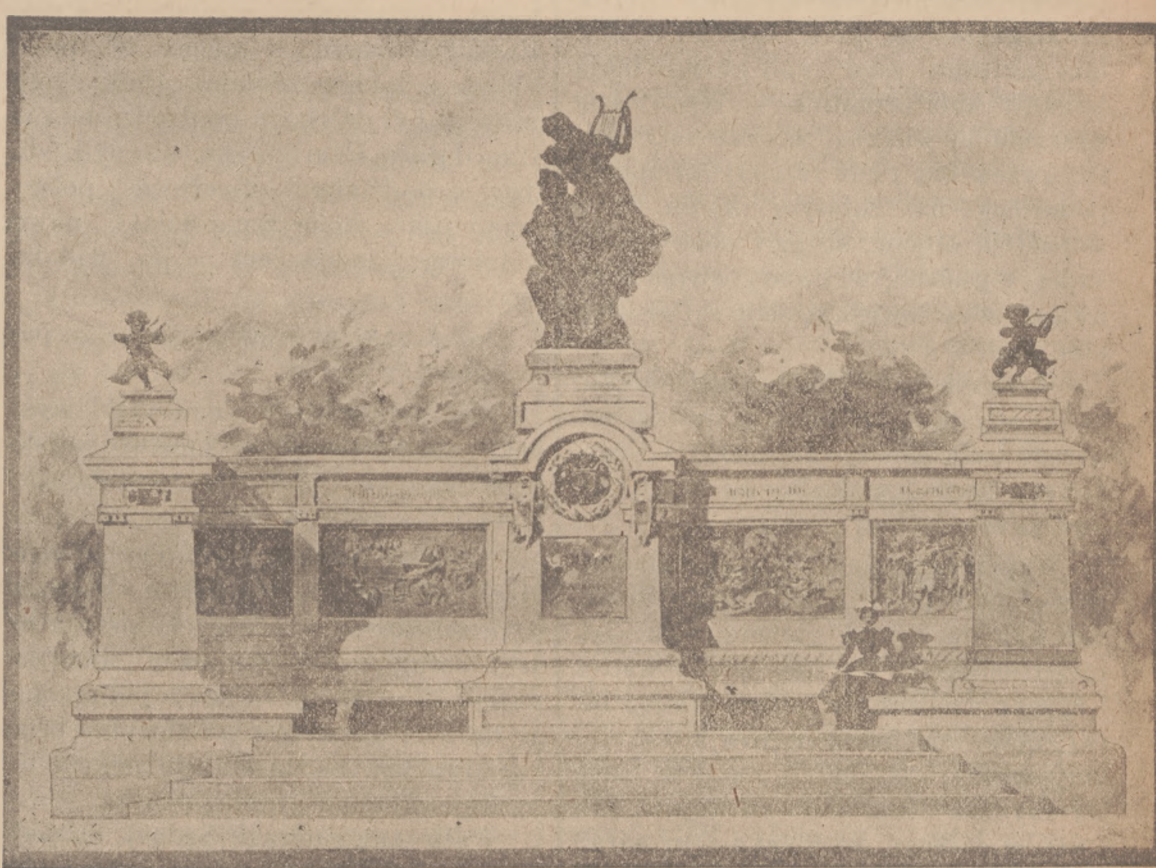
Barbara Bronisława Czarnowska.

Kadet 1-go pułku jazdy Augustowskiej w 1831 roku

Sylwetka biograficzna.

(Ciąg dalszy).

Jakie funkcye wojskowe spełniała Czarnowska po wstąpieniu jej do puł-



Projekt pomnika Chopina przez Godebskiego.

ku — nie wiemy, gdyż w miejscu tem w jej pamiętniku znajduje się luka.

Prawdopodobnie przełożeni oszczędzali jej trudów na każdym kroku. Co zaś się tyczy kolegów, to ci otoczyli ją niezwykłą opieką i jak sama pisze — czuwali nad nią stale tak, „jak najtroskliwsi rodzice.“

W tych warunkach doczekała się ona strasznego dla powstania 1831-go roku dnia 7-go września, t. j. dnia, w którym się rozpoczął szturm Warszawy.

Napróżno przełożeni i koledzy perswadowali jej, by pozostała przy sztabie, nie biorąc udziału w walce. Napróżno przedstawiali jej możliwe alternatywy: śmierć, kalectwo, lub, co gorsze, niewolę — uparła się i ruszyła z pułkiem...

Pierwsza dywizya jazdy jenerała Jagmina, w której skład wchodził pułk Augustowski, jeszcze w nocy przesuniętą została z Mokotowa i sformowaną w linię między rogatkami Jerozolimskiemi a Wolskiemi. Pułk Augustowski stanął nieopodal pierwszych rogatek.

Dopiero o godz. 2-giej po południu rozległy się z tej strony strzały nieprzyjacielskie. Trzy godziny stał pułk w asekuracyi bateryi, biernie się przyglądając walce.

Marsowe twarze wiarusów, roziskrzonemi niecierpliwością oczyma, spoglądające w dal ku wrogowi, dziarsko przegięte na ucho czerwone czapki rogate i te silne dłonie, ściskające, ostre, lśniące, gotowe do cięcia szabliska, dodawały odwagi, stojącej w pierwszym szeregu Czarnowskiej. „Krew nie drgnęła we mnie — pisze — stałam jak mur, choć nad głową moją świstały kule armatnie.“ Wprawdzie ogarnęło ją wielkie wzruszenie, gdy tuż przed nią padł raniony granatem podoficer na zabitym koniu, lecz wsparł ją otuchą, stojący obok młody kadet, z głęboką wiarą wypowiedzianą uwagą, iż „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi.“

Wreszcie nadjechał na spienionym koniu adjutant, zabrzmiała trąbka rozkazem, pułk skoczył do szarży i Czarnowska nagle znalazła się w samym środku morderczej walki...

W pierwszej zaraz chwili owładnęło nią niewypowiedziane przerażenie. Nie był to jednak tchórzowski lęk przed śmiercią, lecz ten wielki wstręt i zgroza dziewczęcia, które, znając bitwę, opiewaną przez poetów z tak pięknej strony, ujrzało ją naraz w całej jej ohydzie. Ona śniła o wojnie, jak o czemś cudnem, boskiem, a tu naraz o wzrok jej uderzył wstrętny obraz rzezi, w której zwycięzcy we krwi się pławią, a zwyciężeni w jej czarnych kałużach konają. Ten chaos zwierzęcej wściekłości i rozpaczy, krzyki, jęki i przekleństwa mordujących się, kwik rozjuszonych koni, szczęk broni i głuchy huk wystrzałów, a nadewszystko ten wstrętny widok wykrzywionych wściekłością i nienawiścią, krwią zbroczonych twarzy, zasłoniły mgłą oczy Czarnowskiej. Zapomniała kim jest, gdzie jest i co się z nią dzieje, a pałasz wypadł z jej bezsilnie zwisłej dłoni.

Będący w pobliżu oficer Tymowski, ujrzawszy ją, bezbronnie stojącą, wśród grożącego niebezpieczeństwa, przyskoczył na koniu i wrzasnął gniewnie:

— Za front smarkaczu! gdzie masz pałasz?! Zginiesz!

W tej chwili koń jej, ugodzony kulą karabinową w łopatkę, przykląkł i Czarnowska zsunęła się na ziemię. To ją oprzytomniło.

Jazda polska siedziała na karkach nieprzyjaciela, pchając go przed sobą. Czarnowska odwrót miała wolny, wzięła więc za uzdę lekko ranionego, lecz niezdolnego do pracy konia i poprowadziła w Aleje Ujazdowskie, gdzie stał sztab. Zdala dojrzawszy dobrze sobie znanego kadeta, rzucili się do niej oficerowie troskliwie, pytając:

— Czyś ranny?

— Ja nie, ale koń mój ranny — odrzekła — a, wyprosiwszy sobie drugiego konia i szablę, pomknęła na plac boju, lecz był on już wolnym, tylko ziemia gęsto zasłana była trupami we wspaniałych czerwonych mundurach. Byli to rosyjscy huzarzy, czerwoni huzarzy, perła jazdy rosyjskiej, a zaledwie kilkunastu z całego ich pułku zbiedz z życiem zdołało. Pułk Augustowski był daleko, a po drodze ku niemu, dążącą Czarnowską, otoczyli, stojący z oddziałami oficerowie polscy, wypytując co się z nią działo, nawet żołnierze, zadowoleni z jej widoku, wołali:

— A, myśmy już myśleli, że pan podchorąży zginął.

Nie pomogły ani nadludzki wysiłek, ani rozpaczliwe męstwo wojska polskiego — Warszawa została zdobytą.

Wojsko polskie, staczając po drodze, większe lub mniejsze utarczki z przemożnym w liczbę nieprzyjacielem, cofało się ku granicom austryackiej i pruskiej. Część jedna już w dniu 27-go września złożyła broń Austryakom, reszta stanęła jeszcze na czas pewien nad granicą pruską.

Pułk Augustowski, będący na jednem ze skrzydeł tego drugiego korpusu, wystawiony był na ciągłe starcia z następującymi oddziałami rosyjskimi.

Czarnowska w każdej utarczce pułku brała czynny udział w pierwszym szeregu. Zaś nieopodal miasteczka Sierpca gub. płockiej, gdzie pułk Augustowski zaatakowany został przez większy znacznie oddział jazdy rosyjskiej, pierwsza rzuciła się w sam środek nieprzyjacielski, a tym dobrym przykładem wywołała tak wielki entuzyazm rodaków, że pomimo zmęczenia ludzi i koni pułku i przeważającej liczby wypoczętej jazdy rosyjskiej, została ona złamaną i zmuszoną była do ucieczki, poniósłszy ogromne straty. Sama zaś Czarnowska dopiero po kilku godzinach starannego poszukiwania odnalezioną została pod stosem trupów omdlała i przygnieciona tułowiem jej zabitego konia, lecz zdrowa zupełnie.

Oczywiście ten dowód niezwykłego męstwa, spełniony w oczach całego pułku, nie mógł pozostać bez uznania wyższej władzy wojskowej. Jakoż, gdy w parę dni potem pułk odpoczywał w m. Sierpcu, ku niezmiernej radości, tak Czarnowskiej, jak i wszystkich jej kolegów, nadeszło zawiadomienie o zaszczyceniu jej krzyżem „Zasługi wojskowej.“ Brzmiało ono, jak następuje:

„Nr. 3472. Świedziebnie dnia 3 M-ca Października 1831. Szef Sztabu Głównego do Imć Panny Czarnowskiey Bronisławy, Kadeta z Pułku 1-o Jazdy Augustowskiej. Zawiadamiam Panią — iż Naczelny Wódz Siły Zbroyney zaszczycił ją Ozdobą Krzyża Woyskowego Srebrnego, na który Patent w zwykłey formie późniey odbierzesz. — Jenerał Brygady (podpis nieczytelny) M. P.“

Jednocześnie Czarnowska przeniesiona została do 1-go pułku Jazdy Sandomirskiej z awansem na podoficera.

Na radzie wojennej w Świedziebnie (koło Rypina w Ziemi Dobrzyńskiej) uchwalono, aby i reszta wojska polskiego złożyła broń w ręce Prusaków. Wszystkim zaś wojskowym rozdano urzędowe dymisye. Czarnowska otrzymała następującą:

„Woysko Polskie. N. 9915. W kwaterze Główney w Świedziebnie dnia 4 M-ca Październ. 1831 roku. Sztab Główny do Imć Panny Bronisławy Czarnowskiey Podoficera z Pułku Jazdy Sandomierskiey. Zawiadamiam Panią, iż przychylnie do Jey prośby Wódz naczelny udzielił Jey żądane uwolnienie od służby woyskowey. Pod Szef Sztabu Głównego Pułkownik (podpisano:) M. Kamiński. M. P.“)*)

Nazajutrz, t. j. d. 5 paźdz. dwudziestotysięczny korpus polski przekroczył

granicę pruską pod Szulcowem i złożył broń w Brodnicy, zwanej przez Niemców Strasburgiem, nad Drwęcą. Straszna to była chwila, gdy — według słów Stefana Garczyńskiego — „żołnierz na kij żebraka broń swoją zamieniał". „Był to widok rozpaczliwy i smutny — pisze Czarnowska — żołnierze pałasze łamali i wołali całym głosem: Ach! sprzedali nas! sprzedali"......

Polacy przyjęci zostali przez Prusaków nadspodziewanie serdecznie, zwłaszcza Niemki tak się na ich widok rozrzewniły, że — wedle słów Czarnowskiej — witały ich z płaczem. Szczególny podziw wywołała w Niemczech Czarnowska z krzyżem „Virtuti militari" na piersiach, gdy generał Woroniecki prezentował im ją i opowiadał o jej męstwie. Generałowie pruscy oglądali ją z niedowierzaniem i niekłamanym zachwytem i ściskając po przyjacielsku jej ręce, składali mimowolny hołd polskiej niewieście, która, nigdy nie będąc w kraju swym niewolnicą, umie ten kraj i jego wolność umiłować tak bardzo, że zdolną jest dobrowolnie ponieść dla niego ofiarę ze swego życia....

Zaczęli się zjeżdżać do Brodnicy obywatele polscy ze wszech stron zaboru pruskiego, witając i zabierając z sobą walecznych rodaków.

(Dokończenie nastąpi).

Kej druhy Sokoły!

Hej druhy Sokoły,
Dzień nastał wesoły.
Gdy możem pospołu
Zasiąść koło stołu.

Hej druhy Sokoły,
Zbierajmy jak pszczoły,
Miód — znośmy do ula!
Jak woła Matula!

Hej druhy Sokoły,
Pracujmy jak woły —
I wzmacniajmy ciało
Tak jak nam przystało!

Hej druhy Sokoły,
Wróg kopie nam doły —
Twe dzieci, Matulu
Niech krzepią Cię w bólu!

A. B.

Z teatru.

***Romantyczni** — komedya w 3 aktach Edmunda Rostanda.*

Komedya autora „Cyrano de Bergerac'a, wystawiona na benefis dwóch młodych, utalentowanych artystów pp. Andruszewskiego i Dobrzańskiego, zda się delikatnym kwiatkiem z epoki Voltaire'a i Talleyranda tak żywo przypomina dyletanckie płody arystokratycznych bel-esprits, które naonczas grywano w modnych eklektycznych salonach takiej pani de Geoffrey lub margrabiny du Deffaud. Arcynaiwna koncepcya, archaiczna architektonika dramatyczna, sielankowy, czułostkowy nastrój, styl literacki, zaprawiany szczyptą soli atyckiej, humor — to główne cechy „szarad" i całej tej buduarowej literatury, która świadczy o wysokiej estetycznej kulturze ówczesnej arystokracyi francuzkiej, odźwierciadla ducha czasu i słynny esprit français, ale służy jedynie za tło w historyi literatury. Ponad poziom tej literatury wynosi „Romantycznych" wiersz gładki, pełen barw i idylicznej słodyczy oraz silnie zaakcentowany rys satyryczny.

„Romantyczni" Rostanda nosząc w sobie poczucie poetyckie pragną świat zewnętrzny przystosować do swych upodobań i marzeń. W ich miłości scenerya i akcesorya odgrywają dominujący wpływ, uczucie ich nie płynie z krwi lub uczucia, lecz przeważnie z głowy — z wyobraźni; a więc Voltaire trafnie zdefiniował miłość jako materyą natury, na której fantazya wyszywa swe kwiaty. Sylwetta i Percinet kochają zapory miłosne i romantyczne przejścia więcej aniżeli siebie, aż dopiero proza życia — uosobiona w Straforelu — zwiewa kwiecie ułud poetyckich i odsłania uczucie bardzo pospolite, ale szczere.

Akt pierwszy stanowi zamkniętą w sobie całość, bardzo wdzięczną, wywołującą miły uśmiech. Poprzestalibyśmy na tym akcie, bo dwa następne, ubogie w treść, nie przynoszą nam nic szczególnie interesującego, prócz sceny Straforela z Sylwettą. A kwintet deklamujący na zakończenie kuplet, robi na nas, dzisiejszych w pozytywizmie i realizmie wyszkolonych, wrażenie operetki. Zresztą całą sztukę dało-by się krótko scharakteryzować jako pełne wartości literackiej libretto operowe według dawniejszej mody.

Widocznie sztuka była opracowana pospiesznie; Percineta zawodziła pamięć w drugim i trzecim akcie, inne role nie były w szczegółach dość opracowane, a wiele tu zależy od pomysłowości i twórczości aktora. Pan Turski zanadto nam przypominał małomieszczańskie typy, które odtwarza dobrze. Pan Dobrzański lepiej oddał postać ojca Percineta, lecz nie można powiedzieć, aby uwydatnił w całej pełni swe zdolności. P. Andruszewski z werwą zagrał wdzięczną, popisową rolę Straforela, aczkolwiek nie wyzyskał komicznej strony roli. Nie bawiła go dość farsa wykradania, nie ośmieszyła dość scena miłosna z Sylwettą. Straforel to — Figaro. Przypuszczam, że tak, a nie inaczej pojął go Coquelin. Panna Zielińska — jak można się było spodziewać — była milutką Sylwettą.

Roman Rola.

* * *

P. S. W sprawozdaniu z sztuki „Na dnie życia" zaszła omyłka. Napisałem, że „p. Czternasty dał niefortunną sylwetkę policyanta," a tymczasem afisz informuje, że artystą odtwarzającym policyanta nie był p. Czternasty, lecz p. Stefański. Omyłka wynikła ztąd, że nie miałem pod ręką afisza, a pp. Czternastego i Stefańskiego miałem dotąd za jedną osobę, która przez wrodzoną skromność swą artystyczną działalność na scenie pokrywa aż dwoma mianami. W przekonaniu tem utwierdzało mnie wprost niebywałe podobieństwo, jakie zachodzi pomiędzy osobami pp. Czternastego i Stefańskiego a nadto ta okoliczność, że p. Czt. jest tak cenną siłą aktorską jak p. Stefański, a p. Stefański zupełnie taką ozdobą sceny jak pan Czternasty.

Zaręczam p. Stefańskiemu, że utożsamiając go mylnie z p. Czternastym, nie chciałem mu ubliżyć. Jednakże sąd mój w oddaniu roli policyanta muszę podtrzymać i oświadczyć, że p. Stefański (nie p. Czternasty) dał niefortunną sylwetkę policyanta, natomiast nie wątpię, że byłby zagrał stokroć lepiej, może nawet „z względną genialnością" jednego z rabusiów...

Roman Rola.

Kurs wykładów akademickich.

Chcąc choć w pewnej części uzupełnić coraz dotkliwiej odczuwane braki wykształcenia naszego społeczeństwa pod względem wiedzy z zakresu filozofii, socyologii, sztuk pięknych i literatury, niżej podpisany komitet zamierza urządzić w przyszłym miesiącu kurs wykładów akademickich.

Corocznie zjeżdżają do Poznania profesorowie niemieckich uniwersytetów i wyższych instytutów naukowych z odczytami, które cieszą się wielką popularnością i frekwencyą ich ziomków. Nasze warunki nie pozwalają niestety na to; brak nam ludzi, czasu i ochoty, tak, że prócz ludowych, niedzielnych wykładów im. Adama Mickiewicza pod tym względem działano tylko sporadycznie przez poszczególne odczyty, które z natury rzeczy w ciasnych ramach jednego wieczoru mogły dać tylko cząstkę z dziedziny obranego przedmiotu.

Z wyjazdem teatru polskiego ustaje wszelki żywszy ruch umysłowy w Poznaniu. Dlatego sądzimy, że interesowane koła publiczności naszej wdzięczne będą za daną im sposobność uzupełnienia swych wiadomości ogólno-naukowych i chętnie podążą na odczyty, których treść będzie następująca: 1) Wstęp do filozofii wraz z zarysem systemów filozoficznych nowszej epoki. 2) Podstawy filozofii idealistycznej. 3) Kwestya socyalna i nasze wobec niej zadanie. 4) Złoty wiek w literaturze polskiej. 5) Sylwetki nowoczesnych pisarzów polskich. 6) Odrodzenie włoskie w sztuce i jego wpływ na czasy najnowsze.

Odczyty odbywać się będą po dwa co poniedziałek, środę i piątek od godz. 8 do wpół do 10 wieczorem na sali pałacu Działyńskich, rozpoczną się zaś w piątek, 5 czerwca. Osoby, które chcą brać udział w odczytach, zechcą nabyć karty wstępu na cały miesięczny kurs w firmie A. Rose, w księgarni Polskiej (p. Tempłowicz, Hotel Francuski) i w Księgarni św. Wojciecha (św. Marcin 69) za cenę 2,00 m., która to suma użytą zostanie li tylko na pokrycie kosztów lokalnego urządzenia odczytów. Oprócz tego można nabywać kartę wstępu na poszczególny wieczór za cenę 25 fen. w tych samych składach.

Dr. Tadeusz Jaworski. Walery Łebiński. Dr. Stefan Michalski. Kazimierz Rucinski. Dr. Jan N. Szuman. Ks. Kazimierz Zimmermann.





W wiosenny dzień.



Zajaśniał wiosenny dzień. Z pod lodowej powłoki wypłynęły śpiewne migotliwe strumyki, zwiastując nowe życie, zieleń pokryła senne dotychczas obszary. Zajaśniało wiosenne słonko, budząc w człowieku żywym wszystkie słoneczne potęgi: myśl krzepiącą, słowo hartowne, uśmiech, słodyczą kojący, spojrzenie, tęczą przymierza zbrojne.

Człowiek żywy rozwarł ramiona w miłości do wiosennego światła, a szczerozłote struny jego serca zadźwięczały hymnem dziękczynienia i prośby. Olbrzymi wtórował mu chór: harfy perlistych potoków, wiolonczele borów, rzeźwe oboje wichrów, surmy głębokie morza i głuche łomoty gór.

Hymn był prastary, niezmienny... Fatum niewzruszone, odwieczne...

Kto hymnu nie dosłyszał, kto go nie śpiewał, ten nie żył.

Był jako cień, mgławica, widziadło, próchno, jak przeklęty, na bezżycie skazany, by mroki fałszu roznosił po świecie, by pełnił zwątpienie i smutek.

Ale w wiosenny dzień przeklęci nawet łaski doznają: wiosenny dzień to złoty wir blasków, w którego falach toną zapomnienia.

A każdy dźwięk hymnu to siła życiodajna dla tych, którzy go słyszą.

Człowiek śpiewał:

„Ojcze nasz, twórco życia, któryś jest w niebie gorejącą nieskończonością, **święć się imię twoje, tajemnicą bytów** groźne, przyjdź królestwo twoje, umiłowaniem wszechmocne, przez wszelką istotę żywą upragnione, która z tęsknoty ku niemu omdlewa, wije się w matni zwątpienia lub obłędną rozpaczą się miota. O przyjdź królestwo twoje, by ucichły głosy bluźniercze, głoszące, że ono tylko ułudą i marą.

Bądź wola twoja w sercu każdem, w każdej godzinie istnienia, w każdej krwi naszej kropli, w pierwszym uśmiechu dziecka i w ostatniem westchnieniu odchodzących z ziemi. W każdej godzinie istnienia bądź wola twoja, wyzwalająca dobro i piękno.

Swiatła nam daj, byśmy wolę twoją pojęli i moc własną poznali.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj, jak nie poskąpiłeś go wczoraj, daj nam dla chleba sprawiedliwy szacunek, niech się nim bracia po bratersku dzielą, niech dla niego wolą twoją, królestwem i imieniem twojem frymarczyć przestaną, by głód i przesycenie zniknęły z ziemi.

I nie wódź nas na pokuszenia martwoty i nocy, lęków i pychy, przemocy i zwątpienia, ale nas zbaw ode złego, by brat nie zabijał brata myślą, słowem, uczynkiem, bezczynnością i chłodem swoim.

Zabójstwo ducha twego — oto winy są nasze. Amen.“

Tak śpiewał człowiek żywy, a kiedy

skończył, głos w samym sobie usłyszał: — Królestwo moje, wola moja są w sercu twojem. Czemuż ich tam nie szukasz? Czemuż samego siebie zabijasz? W tobie jest moc i światło! W tobie twoje własne zbawienie!

Antonina Morzkowska.

Wiadomości.

— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo

„P R A C Y."

— Wieś szlachecką Podarzewo pod Pobiedziskami, własność domu bankowo-komisowego „Drwęski i Langner" w Poznaniu — nabył w całości pan Stanisław Palacz z Łowęcina pod Swarzędzem i to przy spłacie całej ceny kupna aż do landszafty. Przewłaszczenie już nastąpiło.

Podarzewo, graniczące z Pomarzanowicami, obejmuje 700 mórg obszaru i uchodzi za jeden z najlepszych majątków całej okolicy.

Nowemu nabywcy „Szczęść Boże!"

— Wieś rycerską Gniewkowo pod Pobiedziskami, własność domu bankowo - komisowego „Drwęski i Langner" w Poznaniu — nabył mocą kupna p. Antoni Błociszewski z Osińca.

Przewłaszczenie już nastąpiło. Nowemu nabywcy „Szczęść Boże!"

— **Spisy wyborców** m. Poznania były tym razem nadzwyczaj niedokładne, mianowicie co do wyborców Polaków. Pominięto w nich wielu wyborców Polaków i to takich, którzy już od wielu lat mieszkają stale w Poznaniu. Między innymi nie wpisano do listy wyborczej redaktorą naszego tygodnika, p. Bolesława Rakowskiego, mieszkającego stale w Poznaniu od lat blizko 30, a w jednym i tym samym domu już lat 8. Dotychczas pana R. nigdy nie pominięto w żadnym spisie, tym tylko razem nie wpisano go w listę odnośnego okręgu wyborczego, chociaż stwierdzono natychmiast, że był zapisany do księgi ogólnej spisu ludności m. Poznania, na mocy której sporządzają się listy wyborców. Fakt ten dowodzi, że spisy tym razem wygotowano pobieżnie i niedokładnie.

Wstyd i hańbę poniesie każdy ten wyborca, który nie będzie mógł w dniu 16-ym czerwca r. b. oddać do urny kartki wyborczej jedynie dlatego, że w terminie wyłożenia spisu wyborców nie przekonał się, czy jest zapisany i że w tym czasie nie dopominał się o przynależne mu prawa.

— **Wielki festyn** ogrodowy urządzają artyści teatru polskiego w Parku Wiktoryi dnia 1 czerwca r. b. Program zawierać będzie oprócz zwykłego w takich razach koncertu i wieczorem tańców na boisku, jeszcze mnóstwo rozlicznych niespodzianek, oraz humorystyczny repertoar monologów, kupletów, tańców w kostyumach, wykonanych przez artystów, żywych obrazów itd. itd. Rzecz naturalna, że nie zabraknie również puszczania komicznych balonów— wielkich ogni sztucznych, zakończonych szturmem do warowni. Wstęp unormowany nisko, bo tylko 50 fen. od osoby, zachęci niewątpliwie liczne rzesze gości do przybycia na zabawę, z której zysk czysty pójdzie na kasę artystów.

— **Z Wystawy obrazów.** Na Wystawie obrazów umieszczono specyalny zbiór prac Michała Wywiórskiego, składający się z 50 płócien rodzajowych, oraz krajobrazów osnutych na tle swojskiem, przeważnie z okolic Księztwa Poznańskiego. Prace te cieszą się ogromnem uznaniem wśród szerszego koła miłośników sztuki, oraz przez wzgląd na nizkie ceny takowych, znajdą niebawem nabywców.

Radzimy przeto wcześniej zapoznać się z tworami naszego znakomitego polskiego pejzażysty.

— **Pan Władysław Gabryelewicz** właściciel firmy „Gabryelewicz i Tyranowski" w Poznaniu przy ulicy Wiktoryi nr. 14, architekt wewn. dekoracyi, rzutki przedsiębiorca i gorliwy w swym fachu przemysłowiec, poleca w odnośnem ogłoszeniu swój magazyn mebli skromnych i wykwintnych po cenach nadzwyczaj tanich z własnej pracowni. W fabryce wykonują się według najnowszych stylów urządzenia ho-

telowe, składowe, kawiarniane itd. według projektów, rysunków i szkiców, wykonanych samodzielnie przez p. G. Przedsiębiorstwo p. G. polecamy gorąco względom Szanownej Publiczności.

— **Bank parcelacyjny** w Poznaniu, ul. Wiktoryi 12, donosi swym interesentom na tej drodze, chcąc oszczędzić odpowiedzi na wiele pytań, że udziały, które na Walnem zebraniu dnia 10 marca r. b. uchwalone zostały, do dziś wszystkie rozebrane. Natomiast są jeszcze do nabycia udziały Nowego Browaru Grodziskiego E. G. m. b. H. po 50 mk., które z czasem taką samą dywidendę, jeśli nie większą, jak udziały Banku Parcelacyjnego odrzucać będą i to z tej jasnej przyczyny, że Bank Parcelacyjny stopniowo do rozwoju udziały dopuszczać musi, podczas gdy w Nowym Browarze, skoro suma na zupełne wyposażenie przedsiębiorstwa osięgniętą zostanie, nabywanie dalszych udziałów zatamuje i tedy cały zysk pozostaje, choćby największy, dla udziałowców samych.

Celem nabycia udziałów prosimy jednakże teraz udawać się wprost do Dyrektora Browaru, p. Józefa Krzyżankiewicza w Grodzisku (Graetz i/P.)

Pisma sprawie naszej przychylne upraszamy o kilkakrotne powtórzenie tego artykułu.

— **Zwracamy** baczną uwagę Szanownym Panom Rolnikom na inserat Banku Parcelacyjnego w Poznaniu, polecającego na sprzedaż po znacznie zniżonych cenach gospodarstwa kompletne, folwark oraz place budowlane. Warunki kupna nader korzystne.

— **Pan W. Subera**, mistrz szewski w Poznaniu, przy ulicy Berlińskiej 6 i narożniku ulicy Bismarka 1 poleca w ogłoszeniu swą pracownię zamówień wybornego obuwia, znanego z dobroci i znakomitego kroju. Ceny nader umiarkowane.

— **Nowy Browar Grodziski**, zapisana spółka z ograniczoną poręką, nabyła z masy konkursowej p. Chocieszyńskiego na mocy cesyi Wgo pana radzcy Mottego w Grodzisku jako sądowego zawiadowcy masy konkursowej 767 skrzyń i 38350 butelek do piwa grodziskiego, które się znajdowały pomiędzy odbiorcami p. Chocieszyńskiego.

Dotychczas ledwo $^{1}/_{10}$ część skrzyń i butelek wpłynęła do browaru, a reszta jest pomiędzy ludźmi na prowincyi. Ponieważ każda skrzynka z butelkami przeszło 7 mk. kosztuje, Nowy Browar jako początkujący nie może tak wielkich strat ponosić, dlatego uprasza szanownych dawniejszych odbiorców p. Chocieszyńskiego na tej drodze, aby zechcieli łaskawie odesłać u nich będące skrzynki z butelkami choć niefrankowane do Nowego Browaru w Grodzisku (Graetz i/P.) — Szanowne Redakcye pism naszych upraszamy uprzejmie o powtórzenie tego artykuliku, a czytających abonentów upraszamy, aby zechcieli łaskawie baczyć na to nasze ogłoszenie, a w razie wypośrodkowania skrzyń z nazwiskiem „I. Chocieszyński“ zechcieli osoby je mające spowodować do spiesznego odesłania takowych do Grodziska, bo zamówień tak wiele, że skrzyń i butelek za mało.

† **Z miasta.** We wtorek, dnia 12 maja, odprowadzono zwłoki rodaczki naszej ś. p. Klementyny Kaczmarkowej, zmarłej w Krakowie, na cmentarz św. Wojciecha, gdzie spoczywają zwłoki jej rodziców. W pogrzebie wzięły także udział dawniejsze uczennice ś. p. Klementyny: panna Jadwiga Sienkiewiczówna, córka autora „Ogniem i mieczem“ i przyjaciółka jej panna Zofia Abakanowiczówna, córka powszechnie znanego inżyniera i dyrektora elektryczno technicznego laboratoryum zmarłego w Paryżu. Nieboszczka była dobrą Polką i kochała gorąco swą Ojczyznę. Niech ziemia lekką jej będzie!

— **Wschowa** 25 maja. Zacny nasz współobywatel, powszechnie szanowany p. Julian Michalski, rendant cła, niebawem opuści nas na mocy *doręczonego mu nagle i niespodzianie ukazu*, nakazującego mu przeniesienie się ztąd *od 1-go czerwca r. b. w równym charakterze do Żarowy (Sorau)* w Brandenburgii!

Przypominamy Szanownym Czytelnikom, iż p. Michalski jest ową osobistością, wmięszaną w sprawę Loehninga dlatego, że dał czasu swego głos jako rodak na rodaka podczas wyborów do rady miejskiej. Już przed dymisyą Loehninga wytoczono mu w tej sprawie śledztwo, a teraz nagle musi się wynosić na brandenburskie piaski.

Żegnamy zacnego naszego współobywatela rodaka z bólem serca i łzą w oku. Idź, Szanowny Panie Julianie, dla chleba, którego potrzebujesz dla siebie i dla rodziny, na przymusową nową siedzibę w obczyźnie! My zawsze myślą z Tobą żyć będziemy i nigdy o Tobie nie zapomnimy.

Jeden za wielu.

— **Znin.** Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Żninie złożyli w dalszym ciągu: pp. A. Walczak z Żnina 5 mk., H. Gruszczyńska z Wrześni 3 m., R. Kuczma z Gogułkowa. i J. Popielarz z Sarbinowa po 2 m., I. Filanowski z z Mamlicza i S. Kamiński z Koronowa po 1 m., Chrzanowski z Kcyni 5 m., R. Dezór z Sulinowa i S. Gustowski z Żnina po 3 m., F. Śniadecki z Rušca 1 m. 50 fen., Kowalik z Jaroszewa 12 m., za pośrednictwem „Lecha“ 6 m. 80 f., za pośrednictwem „Przewodnika katolickiego“ 14 m. 20 f., W. Ćwiklińska z Rospentka 1 m. 50 f.. Świetlik z Chomiąży duch. 5 m.

„Bóg zapłać!“ Wszystkie osoby, które złożyły ofiarę, otrzymały piękny obrazek cudownej Matki Boskiej Żnińskiej.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

Zmarli:

† Ś. p. *Franciszka z Siudów Waszkowiakowa* w 25 roku życia dnia 21-go b. m. w Żabnie.

† Ś. p. *Augustyn Greinert*, ojciec ks. prob. Greinerta z Gębic, w Ludwikowie pod Ostrowem.

† Ś. p. *Marceli Karpiński* dnia 23-go b. m. w Gnieźnie w 84 roku życia.

Ruch w Towarzystwach.

— **Dla członków** „Stowarzyszenia personalu żeńskiego w handlu i przemyśle“ otwartem zostało biuro pośredniczenia w pracy, ulica Wroniecka nr. 19, pod kierunkiem p. Wład. Kosmowskiej. — Osoby interesowane zechcą się zgłaszać w godzinach biurowych od 10 do 1. W najbliższym czasie otwarte zostaną kursy kaligrafii i biblioteka dla członków Towarzystwa. Dnia 2 czerwca we wtorek po Świątkach odbędzie się pierwsze miesięczne zebranie wszystkich członków, na które jak najuprzejmiej zapraszamy. Oprócz załatwienia spraw bieżących, wygłoszonym zostanie interesujący odczyt i deklamacya.

W imieniu Zarządu
Marya Stefańska, Zofia Tułodziecka.

Wiadomości literackie.

— **Nr. 5 na maj „Przewodnika zdrowia“** (Czarnowski, Berlin Karlstrasse 32) wyszedł i zawiera: 9-ty kongres międzynarodowy przeciw alkoholizmowi. — Jak otyłym ująć tuszy, a chudym dodać? — O żylakach, zapobieganiu im i ich leczeczeniu. — Przestrogi i rady — Rozmaitości. — Piśmiennictwo. — Od wydawnictwa.

— *„Pan Bóg winy karze, pokuta je maże.* Kilka chwil z wieku XI, w czterech księgach, wierszem napisał Tomasz Rudnicki. Kraków. Nakładem Autora. Skład główny w księgarni W. Poturalskiego w Podgórzu 1903.“ — Autor skreślił w dwutomowym poemacie historycznym, napisanym pięknym, potoczystym wierszem, panowanie Bolesława Śmiałego, zamordowanie przez tegoż w Krakowie w kościele na Skałce Biskupa św. Stanisława, kanonizacyę i uznanie Biskupa świętym przez papieża Innocentego IV oraz pokutę Bolesława Śmiałego, wreszcie śmierć tegoż w klasztorze Ossyak w Karyntyi. Powieść tę poetyczną, zaczerpniętą z dziejów naszego narodu, polecamy Czytelnikom naszym.

Od Redakcyi.

Panu R. G. w D. — Nie! Na zbyt rozhukanym koniu Pan jeździ.

Panu D. C. w S. — Leży w tece redakcyjnej, niech się uleży!

Panu M. P. w G. — Jeżeli tak się sprawa ma, jak Pan piszesz, natenczas *„Błotnik 155.“* — Nie wiemy o co Panu właściwie chodzi; pisma Pana z dnia 14 kwietnia r. b. nie otrzymaliśmy.

Pięknej Czytelniczce w grodzie Lecha. — Zastosujemy się ile możności do Pani życzenia.

Panu I. D. w P. — „Słowo Polskie“ we Lwowie, „Czas“ w Krakowie. Pismo techniczne wydziału maszynowego o ile sięgają nasze informacye nie wychodzi. We Lwowie wychodzi dwa razy na miesiąc „Przewodnik przemysłowy.“

Panu J. S. w Hucie E. — Jeżeli Pan miałeś w starym domu podług kontraktu zawartego z właścicielem do użytku swego sklep, natenczas winien jest właściciel w nowym domu dać Panu sklep — tak samo wielki, jak był w starym domu — do użytku.

Wielebnemu Ks. K. w miejscu — Notatka doszła nas za późno, już po wydrukowaniu numeru 21-go na dzień 24-go b. m., dlatego nie mogliśmy jej zamieścić.

Panu M. P. W. G. Jeżeli tak się sprawa ma, jak Pan pisesz, natenczas wynosiłby stempel nie 490 marek, lecz

tylko 236,50 marek. Musiałbyś się Pan udać go głównego urzędu celnego (Haptu-Steuer-Amt) i prosić o zwrot za wiele zapłaconego stempla.

Panu S. S. w Koźminie. — Sprawozdanie przyszło za późno. — Prosimy o pamięć na przyszłość. Dalszy ciąg zaczniemy drukować w przyszłym kwartale.

Panu Ban. w Cassel. — Nie widząc tego pisma, o którem Pan wspominasz, nie możemy Panu radzić. Zechciej Pan odpis owego pisma, na którem Pan się podpisałeś, nam przesłać do przejrzenia.

Panu Swin.... w K. — Artykuł wiadomy nadesłano nam z grona Czytelników, a że rękopisy się niszczą, więc nie pamiętamy nazwiska autora, któryby Szan. Panu mógł udzielić bliższej informacyi. Możeby Szan. Panu wskazała adres fabryka Cegielskiego?

Wesoły kącik.

Si fabula vera...

Powiadali Grecy starzy,
Że ich pra-pra-pradziadkowie,
Nie po jednej mieli twarzy
Nie po jednej mieli głowie.

Inny wówczas skład był ciała,
Wyżsi oni byli, szersi;
Głów dwie im natura dała,
Czworo rąk, nóg, czworo piersi.

Słowem, to, czem dziś są ludzie,
Owej formy jest połową;
Przed wiekami zaś — o cudzie!
Człek wyglądał... dubeltowo.

Czy naprawdę? Rzecz nie moja...
W każdym razie prawdą szczerą
Jest, że z podań czerpiąc zdroja,
Quod relatum est, refero.

Ta dwoistość kształtów ciała
Wzięła jednak w łeb niedługo;
Czemu zaś i jak ustała,
To jest baśni częścią drugą.

Oczywiście, że los wrogi,
Tak społowił ród człowieczy,
Że w tem winne dawne bogi,
Lecz... nie uprzedzajmy rzeczy.

Raz w czas śliczny, o poranku,
Jowisz, gniewny, jak gadzina,
Siadł w Olimpie, siadł na ganku,
I zawołał Apollina.

Przybiegł synal, bez wahania;
Zeus zaś rzecze: „Patrz na ludzi!
Posłuszeństwa każdy wzbrania,
Złość ich krew mi w żyłach studzi!“

Zaś syn: „Przestrzegałem przecie,
Byś rąk tyle, nóg nie dawał;
Niech ich wcześnie grom twój zmiecie,
Bo cię wezmą wnet na kawał!“

Słusznie! — Zeus się ozwie znowu—
Inne im wskazałem cele;
Nieposłuszni memu słowu,
Niechże teraz cierpią wiele.

„Dość tej buty — karać idę,
Jako wielki bóg zniszczenia!“ —
Mówiąc, wstrząsnął swą egidę,
I wnet wszystko się odmienia.

Słychać krzyki z gęb tysiąca,
Jęki lecą na wsze strony,
Broczy ziemię krew gorąca:
Każdy człek — przepołowiony.

Wprawdzie od cięć te istoty
Nie zginęły, nie umarły,
Ale wiek przeminął złoty
I z olbrzymów — same karły!

Przytem niedogodność inna
Wnet wprawiła świat w ambaras:
Gdy złość Zeusa była czynna,
Z ciałem przeciął dusze naraz.

A rzecz jasna i pojmiecie,
Jakich źródłem to katuszy,
Gdy człek błąka się po świecie
Z biedną połowiną duszy.

To też jeśli przypadkowo,
Na tej nędznej łez dolinie,
Z drugą spotka się połową —
Od tęsknoty zaraz ginie!

I dopóty tęsknić będzie,
Póki amor, figlarz rączy,
Mając smutki te na względzie,
Dwóch połówek nie połączy.

H. P.

Na wsi.

— Gospodarzu, nie macie letniego mieszkania?
— Byłoby, ale jeno kiele lipca.
— A teraz zajęte?
— Ma się wiedzieć: tera tam siedzi wieprzek, ale w lipcu sprzedamy go na jarmarku, to się w chlewiku otworzy zara miejsce.

Jest sposób.

— Kolega musisz mieć ogromną praktykę, skoro po całych dniach jeździsz wynajętym powozem!...
— Nie mam ani jednego pacyenta.
— Więc?
— A no, wynajmuję powóz i jeżdżę, to się praktyka wyrobi...

Z chwili.



Chłopiec roznoszący gazety: Wielkie zwycięztwo, ludowcy górą!
Ugodowiec oburzony: Czyś oszalał chłopaku? To secesya, ale nie zwycięztwo!

Skrzydła

Świeżo zbogacony „magnat“ konferuje z architektem nad budową pałacu, jaki zamierza wznieść w świeżo również nabytych dobrach. Architekt proponuje gmach główny, jako całość w sobie. „Magnat“ upiera się przy skrzydłach.
— To będzie okazalej!
— To prawda — powiada architekt — ale, gdy się znajdą okazałe skrzydła, majątek łatwiej może... ulecieć!...

Trudne pozwolenie.

— O czem tak zamyśliłeś się?
— Widzisz... chciałbym się żenić z panną Maryą, i niewiem, czy dostanę pozwolenie.
— Od jej rodziców?
— Nie, od moich... wierzycieli.

Kwity na „Pracę“ i „Czytelnią“ zamieszczone są na osobnej stronie pod okładką.

Dział kobiecy.



O całusie.

(Aforyzmy.)

Całus — możnaby śmiało uważać za czwarty żywioł. Powietrze, woda, ogień i całus! Nie ma w tem orzeczeniu wcale zbytniej przesady. Wszak to, że całus jest filozofią największą, wyrzekł już nasz geniusz największy:

Ten się wśród mędrców liczy,
Zna chemię i ma gust,
Kto pierwiastek słodyczy
Z lubych wyciągnął ust.

Nikt jednak! nikt z poetów całego świata nie napisał tyle pięknych rzeczy o całusie, co Heine:

O! całuj! — nie przysięgaj, nie,
Przysięgą nie omamisz mnie,
Twych pięknych lubię słuchać mów,
Lecz całus słodszy jest od słów!
On tylko u mnie wiarę ma,
A słowo?... zwiewny opar, mgła!

Bardzo ładnie powiedział także jeden z wieszczów, który niestety nie zostawił potomności swego nazwiska:

Kocham je wszystkie: Julie, Wandzie,
Manie, Rózie,
Gdy całują — Dla czego?.... Bo *milczą*
ich buzie.

Podczas całowania zazwyczaj zamyka się oczy. Kwestya ta także była przedmiotem bliższego zastanowienia. Bardzo rozumnie rzekł ktoś, że w czasie wizyty tak lubego gościa, jak *Całus*, zbyteczni są świadkowie.

Ktoś inny, starszy już jegomość, który jednak całuskiem nie gardzi, sformułował swe zachowanie się w następującym wierszu:

Kiedy całuję to zawsze
Spuszczam powieki me nisko,
Bo nie chcę widzieć, żem takie
Stare i głupie chłopisko.

Znawczynie twierdzą, że na pełne uznanie zasługuje tylko całus mężczyzny, który posiada piękną brodę, bo

Całus mężczyzny bez brody
Ma smak nie wina, lecz — *wody.*

Rozumie się, że mowa tu tylko o całusie erotycznym, że ani: *całuję rączki*, ani: *całuję stopki*, ani listowne: *całuję cię serdecznie*, nie mogą być wcale brane w rachubę. Nie może być także uwzględniony całus teściowej, który musi być cierpiany jako *złe konieczne* — tak się jednak ma do całusa, jak siarczana zapałka do słońca.

Fantazye mody.

Nowa moda, wcale oryginalna, zaczyna się rozpowszechniać w Anglii. Zamiast trzewików balowych wprowadzono na arystokratyczne salony londyńskie sandały do tańca. Wątpić jednak należy, czy moda ta kiedykolwiek dostanie się na drugą stronę kanału i wniknie do salonów paryskich. Paryżanka bowiem nie zechce się pozbyć szczególnego wdzięku, jaki umie nadać nie małej, lecz zgrabnej jej nóżce szykowny wyrób szewców paryskich, który sam dla siebie stanowi przedmiot istnie artystyczny. Zresztą rozpowszechnieniu tej mody stoi na przeszkodzie i to, że sandały wymagałyby logicznie zupełnej zmiany kostyumu. Mogą one wyglądać pięknie przy tunice greckiej i peplum starożytnej, lecz z pod kaskady gaz i koronek, z za obłoków muślinu i przy słodkiej melodyi i kołyszących rytmach bostonu nic nie wygląda równie pięknie, jak elegancki kształt nogi uwydatniający, a jednak obcisły trzewik Louis IX z czerwonym obcasem. Ten obcas czerwony, migający wśród tańca, to szyk i urok najwyższy, którego nie odda Paryżanka za żadne sandały, chociażby wraz z niemi zjawiła się moda Rzymianek z epoki upadku Rzymu, kosztowna moda noszenia pierścionków na palcach u nóg.

Inna natomiast moda, pochodząca również z Anglii, przyjęła się natychmiast w Paryżu. Jest to mały djabełek z celulozy, odziany czerwono i ochrzczony (naturalnie nie wodą święconą!) mianem „Goblin.“ Tak nazywają w Anglii stracha, którym dzieci niegrzeczne zmuszają do spokoju. W tym wypadku jednak służy on innym zupełnie celom. Każda tancerka podczas kotyliona otrzymuje go w darze i nosi powieszonego na łańcuszku, a on swym uśmiechem ironiczno — impertynenckim przyczynia się znacznie do podniesienia wesołego nastroju.

Handel dziewczętami malajskiemi.

Nietylko pod naszą szerokością geograficzną bywają ludzie bez czci, którzy robią sobie rzemiosło z handlu niedoświadczonemi młodemi dziewczętami. Obrzydły ten handel kwitnie oddawna na wyspie Jawie. Rząd tamtejszy, jak donoszą, obecnie robi wszelkie wysiłki, aby zgnieść tę ohydę XX wieku. Już od dziesiątek lat wywożą z Samarang (na Jawie) całymi okrętami młode dziewczęta malajskie do Singapoor. Wsadzano je na pokład parowca w nocy i nigdy nie zdarzyło się, aby która z wywiezionych powróciła do ojczyzny. Wrzawa, jaką narobiła prasa z powodu tego haniebnego procederu, zwróciła uwagę policyi, która wykryła, że głównymi promotorami całego tego interesu są Arabi. Skutecznie wtedy podziałała interwencya policyi, bo handel chwilowo ustał zupełnie. W ostatnich jednak czasach, jak feniks z popiołów, zmartwychwstał z nową siłą handel żywym towarem w Djoevan, przedmieściu Samarang. Poprzednio statek stawał na kotwicy u ujścia głównego rzeki Djoevana, aby brać żywy ładunek. Obecnie parowce idą w górę rzeki i tam dopiero ładują dziewczęta na pokład. Dzieje się to w nocy lub nad ranem. Teraz znów policya holenderska wypowiedziała wojnę handlarzom i stara się usilnie temu zapobiedz. Oprócz tego rząd zamierza urządzić rewizye na wyspach Banka i Tomboli, gdzie odbywa się targ publiczny, na który przybywają ze wszystkich stron Arabi i Chińczycy, dla zaopatrzenia się w żywy towar.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Walne zebranie akcyonaryuszów Banku Związku Spółek Zarobkowych

zagaił p. mecenas Głębocki w zastępstwie p. szambelana Cegielskiego, złożonego chorobą. Dał on krótki zarys działalności i pomyślnego rozwoju Banku, który w pierwszej linii zawdzięcza sprężystemu zarządowi, na którego czele stoi zasłużony dyrektor p. dr. Kusztelan. Przewodniczył za ogólną zgodą zebraniu p. mecenas Głębocki.

Sprawozdanie zarządu, które podajemy poniżej, odczytał p. dr. Kusztelan, poczem przedstawił bilans za rok 1902. Ks. patron Wawrzyniak wyraził w imieniu nielicznie przybyłych delegatów Spółek zupełne zaufanie zarządowi Banku, przyczem udzielił kilka ważnych rad i nauk dla poszczególnych Spółek.

W sprawie udzielania pożyczek na parcelacye tak spółek jak i pojedyńczych jednostek udzielali obszernych wyjaśnień p. dr. Kusztelan i ks. patron Wawrzyniak na interpelacyę p. dyr. Więckowskiego, którą uzupełniali uwagami pp. dr. Rzepnikowski i Kużaj i w końcu mecenas Głębocki.

Sprawozdanie rady nadzorczej i kuratora odczytał p. St. Krysiewicz; przyjęto je bez dyskusyi do wiadomości. Tak samo potwierdzono rachunek zysków i strat i bilansu za rok 1902. Poczem na wniosek rady nadzorczej deszarżowano zarząd banku, jak i udzielono pokwitowania radzie nadzorczej na wniosek przewodniczącego.

W miejsce występujących wedle statutów trzech członków rady nadzorczej, pp. szambelana Stefana Cegielskiego, dr. Rzepnikowskiego i dra Szóstakowskiego, wybrano ponownie tych samych panów.

Wreszcie udzieliło walne zebranie zezwolenia na przepisanie akcyi na nowych nabywców.

Na tem wyczerpano porządek obrad.

* * *

Sprawozdanie Zarządu.

Wynik czynności naszego Banku za rok 1902 przedstawia się wogóle korzystnie. Obrót ogólny w porównaniu do roku 1901 podniósł się z 138 266 698,80 marek na 161 179 692,57 marek.

Odpowiednio do tego podniosły się prawie wszystkie konta zarobkujące. Remanent weksli znajdujących się w portfelu w końcu grudnia 1902 podniósł się w porównaniu do remanentu z końca grudnia 1901 r. z 3 611 599,98 na 5 110 841,53 a więc prawie o $1\frac{1}{2}$ miliona marek. Z powodu, że pod koniec roku przeszłego, począwszy od października, mieliśmy i mamy po dziś dzień wielki napływ gotówki, szczególniej od tych spółek, które mają swe siedziby w okolicach, gdzie rozwija się przemysł, a mianowicie cukrowniczy, przeto lokowaliśmy znaczne kapitały w wekslach pierwszorzędnych banków berlińskich i zagranicznych, aby każdego czasu mieć kapitały do dyspozycyi.

Konto hypotek podniosło się z 315 420 marek w początku roku, na 499 047,40 w końcu roku. Hypoteki znajdujące się w naszem posiadaniu są przeważnie pierwszomiejscowe a w każdym razie zupełnie pewne, ulokowane na posiadłościach włościańskich i są po większej części płatne za krótkiem wypowiedzeniem, tak, że realizacya ich przez zamianę na listy zastawne ziemstwa kredytowego, kasy zasiłkowej prowincyonalnej lub banków hypotecznych dałaby się łatwo przeprowadzić.

Spółkom służyliśmy kredydem nie tylko w granicach regulaminem określonych, ale znacznie nawet większym, o ile kredyt ten był poleconym przez ks. Patrona.

Handel i przemysł, czerpiący z naszej instytucyi swe zapotrzebowanie pieniężne, bywał zawsze, o ile na to zasługiwał, dostatecznie obsługiwanym.

Zwłaszcza przemysł budowlany znajdował w banku naszym chętnie poparcie w przeprowadzaniu podjętych budowli domów, a mianowicie jeżeli budynki były stawiane na pierwszorzędnych ulicach. Kredyt ten bywa zwykle żądanym na krótki stosunkowo czas i realizuje się łatwo. Czy i o ile w przyszłości z źródła tego naszych dochodów korzystać będziemy, będzie zależało jedynie od dobroci podawanych nam ofert, zwłaszcza, że jak się zdaje, chęć budowania domów przybiera w niektórych dzielnicach rozmiary przekraczające chwilowe zapotrzebowanie.

Z roku na rok wzrastający popyt na ziemię ze strony włościan naszych i tych, którzy pragną posiąść ziemię na własność, skłania nas do brania udziału w parcelowaniu, mianowicie przez ostrożne popieranie finansami czy to licznych instytucyi parcelacyjnych, czy osób prywatnych. Parcelowania na własny rachunek nie podejmujemy.

Konto efektów wykazuje również znaczniejsze obroty niż w latach poprzednich. Podczas gdy w ciągu roku 1901 sprzedaliśmy efektów za 2 079 467,27 m., wynosiła suma sprzedanych efektów w ciągu 1902 roku 3 995 286,18 m., a więc prawie podwoiła się. Jakkolwiek sprzedaż efektów z roku na rok coraz większe wykazuje obroty, to jednakże obrót w tej gałęzi handlu naszego jest u nas jeszcze bardzo mały. Przyczyny małego obrotu w tem szukać należy, że publiczność nasza nie jest jeszcze dobrze i ogólnie powiadomioną i przyzwyczajoną do tego, że w naszych instytucyach finansowych może transakcye w efektach na giełdzie notowanych tak samo załatwiać, jak w innych instytucyach konkurencyjnych. Należy się spodziewać, że i tutaj w przyszłości lepsze wykażemy rezultaty. Zysk ze sprzedaży efektów wniesiony na Rachunek Zysków i Strat za r. 1902 wynosi 36 060,09 m. W rzeczywistości był zysk ze sprzedaży efektów i wskutek wyrównania dawniejszych strat przez podniesienie się kursu znacznie większy. Wszakże rada nadzorcza i Kurator zgodnie z Zarządem zmniejszyli zyski z rachunku efektów wynikłe o 25 000 mk., aby w razie możliwego spadku papierów publicznych nie wystawiać instytucyi naszej na zbyt dotkliwe odczucie takiej straty.

W roku obrachunkowym byliśmy zmuszeni nabyć na subhaście nieruchomość na Łazarzu za 35 000 marek. Nieruchomość tę sprzedaliśmy na początku roku bieżącego za 38 000 marek. Straty żadnej w tej sprawie nie ponieśliśmy. Drobną stratę na dwóch wekslach popadłej spółki zapisanej w konkurs, odpisaliśmy na rachunku zysków i strat.

Zarząd
Dr. Kusztelan.

Notatki ekonomiczne.

Panowanie talara zbliża się ku końcowi. Jak donoszą niemieckie pisma, nadchodzą do głównego banku państwowego w Berlinie całe wagony ze spakowanymi w beczki talarami. Przesyłki, obejmujące czterysta centnarów, są rzeczą zwyczajną. Ztamtąd rozsyłają je znowu do mennic państwowych w Berlinie, Hanowerze, Frankfurcie, Monachium, Dreźnie, Stutgarcie, Karlsruhe, Darmstacie i Hamburgu, gdzie zostaną zużytkowane do wyrobu innych monet, zwłaszcza dwu i pięciomarkówek. Na talarach ponosi rząd znaczną szkodę, gdyż jak wiadomo, kurs i wartość srebra spadła tak bardzo, iż rzetelna wartość srebra zawartego w talarze wynosi teraz tylko 1 markę 20 fenygów.

Dodatek Humorystyczny.

Sezon kąpielowy.

Czerwiec, ach czerwiec jutro już,
Panny, mężatki i wdowy:
Chcą.. grzeszne ciało dać — pod tusz—
Wszak to... sezon kąpielowy.

Oczkami panna strzela wciąż,
I puszcza... ogień rotowy —
Na pewne jej przybędzie mąż,
Wszak to... sezon kąpielowy.

Twa córka, tatku przecie wiesz,
Lubi zawracać tak głowy —
A więc się tatku spiesz i ciesz,
Wszak to... sezon kąpielowy.

Mężatce maj nie przyniósł nic,
Nowe rozpocząć trza łowy —
Więc puder jej nie schodzi z lic,
Wszak to — sezon kąpielowy.

Wdówka, strój czarny rzuca w kąt —
Przybiera strój kolorowy,
Może?... ja nie wiem?... może ztąd...
Że to sezon kąpielowy.

Stary kawaler co to tak,
Cierpi na gościec stawowy —
Kupił już sobie nowy frak...
Wszak to sezon kąpielowy.

Kupiec też żonie kupił w mig,
Złoty garniturek nowy —
Choć się zadłużył — byle szyk,
Wszak to... sezon kąpielowy.

A za granicę, choć drwi świat —
Że chce zwyczaj narodowy,
Wysyła żonę szlachcic — brat,
Wszak to... sezon kąpielowy.

Młode małżeństwo chce do wód,
Spędzi tam miesiąc miodowy —
Czeka czy bocian — zrobi cud?
Wszak to... sezon kąpielowy.

Pan poseł, co to w Berlinie tam,
Taki miał sezon... marsowy —
Chce się ochłodzić w wodzie sam...
Wszak to... sezon kąpielowy.

I ja bym tak do kąpiel chciał,
Chociaż nie jestem nerwowy —
Ba! gdybym tylko pieniądze miał?
Nie mnie... sezon kąpielowy!

Humorysta „Pracy."

Na Miasteczku podczas strzelnicy.

Na Miasteczku dookoła:
Czego pragniesz, masz tam zgoła
Dobór cacek niezrównany,
Z gliny kogut malowany;
Na straganach kiełbas zwoje
Podniecają czucia twoje,
Słynne „*rury*" i pierniki,
A nadomiar śpiewy, krzyki...
Ten wziął po łbie, ów po karku,
Jak to bywa na jarmarku...

A drzew chłód do siebie mami,
Ciżba kładzie się wiankami;
Pod korony drzew liściaste...
Majster objął swą niewiastę
I przy trzech harmonii dźwiękach
Podryguje jak na mękach.
Katarynka ustawiona
Gra wyjątki z „Gasparona",
A opodal klarnet z basem
Swe trzy grosze wtrąca czasem.

Liczne są też tam kapele,
Przygrywają, jak w wesele;
Każdy taniec idzie żwawo,
Słychać często: „W lewo, w prawo!"
I kontredans z figurami
Co światowych w koło mami...
Przytupania i przyśpiewki...
Z mieszczuchami wiejskie dziewki
Utworzyły jedno koło....
I ruchliwie i wesoło!

W każdej stronie uciech wiele:
Krążą barwne karuzele,
Na koniku pan Antoni
Pannę Ewę dziarsko goni,
A panienka mknie na ławie
I spoziera nań łaskawie.
Na „djabelskim młynie" para
Flirt utrzymać się wciąż stara;
Na „huśtawkach" wiele wrzawy,
Świat się huśta dla zabawy.

Ludzka fala wzbiera, rośnie,
Gród oddaje hołdy wiośnie
I rozkłada się na trawie,
I pogrąża się w zabawie,
I oddycha choć przez chwilę,
Wiosną, co się śmieje mile.
Dąży stary, młodzian, dziecko
Na Miasteczko, na Miasteczko.
Tłumy majem odurzone...
Rzekłbyś, wiosny antyfonę,
Pieje ludzka rzesza cała:
„Świątkom chwała, wiośnie chwała!"
Dąży stary, młodzian dziecko
Na Miasteczko, na Miasteczko!

—ski.

Chełpliwy poseł.

Jerzy Ossoliński, który nieraz od Władysława IV w różne strony z poselstwem bywał wysyłany, głośnym był nietylko z pięknej wymowy, ale i z chełpliwości. Przybywszy w posły do Papieża Urbana VIII, przedstawił się sekretarzowi Jego Świątobliwości. Ten mu rzecze:

— „Taki poseł godną swej misyi wygłosić powinien mowę."

— „I ja tak sądzę," odpowiada Ossoliński

— „Daj sto dukatów, a napiszę piękne powitanie."

— „Dam dwieście, rzecze poseł obrażony, jeśli mego posłuchasz i nauczysz się, jak to pięknie mówić się powinno."

U zegarmistrza.

— Co to jest?... Kupiłem zegarek z poręczeniem, a on się już o dwie godziny spóźnia.

— Niech się pan dobrodziej nie irytuje, to swoja rzecz, bywają nietylko zegarki, ale nawet weksle z poręczeniem i także się często spóźniają.

Rosyjskie prawa przyznają.

Ludowi wolność, carowi absolutyzm.

Ludowi bogactwa, carowi roporządzanie niemi.

Poddanym prawo robienia, co im się podoba, urzędnikom zakazywania wszystkiego.

Prasie zupełną wolność, cenzurowi prawo wykreślania wszystkiego,

Ludowi opiekę prawa, sędziemu samowolę.

Ludowi wolność słowa, urzędnikom przywilej do zamykania ust każdemu.

Filozofia pijaka.

...Jaki to człowiek dziwny ma ustrój: nogi przemoczysz — gardło cię boli — gardło przemoczysz, nogi cię bolą.

...I tak życie nie jest słodkiem, a człowiek pije ciągle wódkę.

...Gdyby cały świat był knajpą, to pijaństwo straciłoby wszelki urok.

Czy nie rozumniej?

Gdy człowiek dobiegnie końca życia, inni mówią: „Niechaj mu ziemia będzie lekką!" Czy nie rozumniej byłoby życzyć mu tego, gdy życie zaczyna?

Dział powieściowy.

Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

64) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Lord Corrigan zacisnął pięści i wybiegł z pokoju, a zaraz potem weszła garderobiana.

— Kufry gotowe, — rzekła. Tylko jeszcze miednicę......

— Poślij oddźwiernego po dorożkę.

— Milady! — zawołała nagle służąca, — tu w miednicy leży rewolwer.....

— Daj mi go! To odtąd moja własność! — szepnęła lady Wiktorya, patrząc dziwnym wzrokiem na broń. — Jeżeli nie otrzymam sprawiedliwości tam, gdzie powinnam, to wymierzę ją sama!

* * *

Pół godziny później jechała lady Corrigan na dworzec.

Mąż jej biegał jak szalony po pokoju.

— Jedź, jedź! — syczał przez zaciśnięte zęby — ale z Petersburga do Londynu daleka droga, i podróżni bywają narażani czasem na niebezpieczeństwa.....

— Milady, — mówiła garderobiana, — gdy dorożka stanęła, — dokąd kupić bilety?

— Wcale nie, — odrzekła lady, — my zostaniemy w Petersburgu!

— Zostaniemy, tutaj?

— Tak! Postaram się o posłuchanie u cara! Zobaczę, czy on nie wysłucha matki, błagającej o życie dziecka! Ach, on ma przecież trochę serca dla nieszczęśliwych, on mnie musi wysłuchać!

ROZDZIAŁ CI.

Rządek i szaleństwo.

Ambasador angielski w Petersburgu, baron Percy, przyjmował od dziesiątej do jedenastej rano każdego Anglika, który miał jaką sprawę u niego do załatwienia.

W pałacu jego panował wtedy ruch niezwykły, w Rosyi bowiem dużo jest Anglików, mianowicie kupców, którzy mają nieustannie jakieś skargi lub prośby do przedkładania przedstawicielowi sprawiedliwości angielskiej.

Na drugi dzień po uwięzieniu Józefiny zajechał przed pałac ambasadora lord Corrigan.

Zaleciwszy służbie jak najsurowiej zachowanie milczenia co do wypadków nocy, postanowił udać się natychmiast do ambasadora, aby mu całą tę sprawę w innem przedstawić świetle.

Znał on barona Percy już z Londynu i z łatwością uzyskał u niego audyencyą.

— Dzień dobry, kochany lordzie, — zawołał Percy, wchodząc do salonu — Czemże mogę ci służyć?

— Ach! — odrzekł Corrigan smutnie, — przychodzę do pana po radę! Jestem bardzo nieszczęśliwy!

— Co się stało?

— Nie wiem doprawdy, jak to panu powiedzieć. Jest to cios tak okropny......

— Czy kto umarł, lub zachorował? Syn pana — żona.

— Tak moja żona, — szepnął Corrigan, zasłaniając oczy — moja nieszczęśliwa, droga żona......



Odwiedziny Corrigana u angielskiego posła.

— Mów pan! — zawołał Percy z współczuciem, — co się z nią stało?

— Ona — dostała — pomieszania zmysłów!

— Nie może być! Przecież wczoraj widziałem ją i rozmawiałem z nią! Była zupełnie zdrową! I jak się choroba ta objawiła?

— Zdaje jej się, że miała córkę i że ja ją zamordowałem! Że ją na Sybir wysłałem — ach, nie wiem już, o co mnie w swych urojeniach podejrzywa! Jestem przekonany, że ona w tych dniach będzie u pana, aby się się na mnie uskarżyć.

— Ależ to okropne! Słyszałem jednak już nieraz, że osoby dotknięte nagłem obłąkaniem okazują najwięcej nienawiści tym, których najwięcej kochały! Serdecznie mi pana żal!

— Wiem o pana życzliwości i dlatego chciałem prosić, abyś uczynił wszystko, co możesz w celu zapobieżenia skandalowi, w razie, gdyby moja żona przybyła tutaj!

— Możesz pan być przekonanym, że nikt się o tem nie dowie!

— I przeszkódź jej w otrzymaniu audyencyi u cara!

— U cara? A po cóż chce żona pana iść do cara?

— Aby go prosić o łaskę dla swej urojonej córki, którą ja miałem posłać na Sybir.

— Nieszczęśliwa kobieta! Ale uspokój się, ona cara nie zobaczy! Nigdy!

— A jeżeli zwróci się z tą prośbą do kogo innego? Do kogoś, nie wiedzącego nic o jej chorobie?

— Tak! Ale i na to jest sposób! Czy żona pana zna cara?

— Nie! Widziała go raz, ale nie rozmawiała z nim.

— To dobrze! Zdaje mi się, że mam dobry plan.....

W tejże chwili zapukano do drzwi i sekretarz ambasadora wszedł do salonu.

— O cóż to chodzi? — zapytał Percy.

— Lady Corrigan prosi o chwilę rozmowy! — odrzekł sekretarz.

Lord Wiliam zadrżał.

Jak dobrze, że ją uprzedził!

— Nie trać pan zimnej krwi, — rzekł Percy, — obłąkanym można tylko imponować spokojem...... Ukryj się pan za tą portyerą, możesz słuchać całej naszej rozmowy!

Lord Corrigan wsunął się szybko za ciężką firankę i zaraz potem weszła lady Wiktorya.

— Ta kobieta jest rzeczywiście chorą, — pomyślał Percy, patrząc na jej bladą, zapadłą twarz i gorączkowo błyszczące oczy.

— Co rozkażesz milady? — rzekł uprzejmie, zbliżając się do niej.

Zamiast odpowiedzieć, zaczęła lady Wiktorya gorzko płakać.

— Nie płacz pani, — zaczął znowu Percy łagodnie, — powiedz mi lepiej, co cię tak martwi i dręczy!

— Baronie! — szlochała nieszczęśliwa matka, — czy mogę liczyć na twoją przyjaźń?

— Zawsze i wszędzie! Bądź pani pewną, że nie zawiedziesz się na mnie! Co się więc stało?

— Nieszczęście spotkało mnie! Nie mogę panu wszystkiego opowiedzieć, bo gdy pomyślę o dzisiejszej nocy, to zdaje mi się, że rozum tracę.....

— Uspokój się pani, proszę!

— Proszę pana, — zawołała teraz nagle lady Wiktorya, — wystaraj mi się o posłuchanie u cara! Dziwi cię to? Ja panu nie mogę powiedzieć, czemu tego pragnę, jest to tajemnica! Chodzi tu o szczęście moje i jeszcze innej osoby! Ach, błagam pana, nie odmawiaj mej prośbie! Ja dziś jeszcze muszę cara widzieć! Może już będzie zapóźno, może wszystko już stracone!

— Ona rzeczywiście jest obłąkaną, — pomyślał Percy, — biedny Corrigan.

— Jest to niełatwe zadanie, — rzekł głośno, — gdyby chodziło o posłuchanie u królowej angielskiej, to co innego, ale u cara..... Nie wiem, jak to urządzić......

— Ja muszę go widzieć! Tu chodzi o życie człowieka! Mam pieniądze, miliony — przekupię wszystkich, dam, ile kto chce — ale cara muszę dziś widzieć!

— Pieniędzmi nic się tu nie zrobi! Jest jeszcze jeden sposób, ale nie wiem, czy się na to zgodzisz, milady!

— Zgadzam się z góry na wszystko, bylebym doszła do celu! Powiedz pan, co mam uczynić!

— Oficyalna prośba o posłuchanie nie byłaby korzystną, bo trwałoby to przynajmniej tydzień. Car bawi teraz w Carskiem Siole, i mało tylko osób ma wstęp do niego, z powodu jego obawy przed zamachami nihilistów. Około wieczora wychodzi on zwykle na przechadzkę do parku i z tego powinnaś pani skorzystać. Gdy ujrzysz go idącego z daleka, rzuć się na kolana i wyciągnij ręce, aby widział, że nie masz przy sobie broni lub bomby dynamitowej. Gdy się car zbliży, podaj mu prośbę — musisz ją poprzednio napisać. — Myliłbym się bardzo, gdyby car natychmiast nie dał odpowiedzi pomyślnej.

— Tak będzie najlepiej, — przywtórzyła lady Wiktorya uradowana. — Dziękuję panu serdecznie za tę dobrą radę. Ach, gdybym ci mogła kiedykolwiek okazać moją wdzięczność! Jakże jestem szczęśliwą! Wiesz pan, że rozłączyłam się z moim mężem, i że nigdy już do niego nie wrócę?

— To drugi dowód obłąkania, — pomyślał Percy.

— I czemu to? — zapytał. — Przecież żyliście państwo tak szczęśliwie!

— Ale teraz okazało się, że mój mąż jest — zbrodniarzem! — zawołała lady Wiktorya, wstając. — O, gdybyś pan wszystko wiedział! Dziś jeszcze posłałbyś skargę na niego do nadprokuratora w Londynie! Więcej powiedzieć mi nie wolno! Idę więc teraz, aby napisać moją prośbę, i raz jeszcze dziękuję ci serdecznie za twoją uprzejmość!

Percy odprowadził ją aż do drzwi, potem wrócił do okna i rozsunął firankę.

Corrigan był blady jak śmierć i drżał na całem ciele.

— Co pan uczyniłeś! — zawołał ochrypłym głosem. — Moja żona zobaczy cara!

— Tak jest! — uśmiechnął się Percy.

— Więc jestem zgubiony! Bo car nie wie, że ona jest obłąkana! Uwierzy jej wszystko, a ja — ja.

— Uspokój się pan! Nieszczęśliwa żona twoja zobaczy kogoś, kogo będzie uważała za cara i odda mu prośbę, którą panu dziś jeszcze wręczę!

— Ah, zaczynam się domyślać! — szepnął Corrigan z westchnieniem ulgi.

— Zaraz się pan przekonasz! — rzekł Percy, naciskając guzik dzwonka elektrycznego.

Po chwili stanął służący na progu.

— Proszę mi przysłać drugiego sekretarza, Raleiga, — rozkazał.

Służący zniknął.

— Raleig, — zaczął teraz Percy, — dziwnie jest do cara podobny, ale proszę, nie mów pan nic o tem w jego obecności. I gdy on przyjdzie, oddal się pan, chcę się z nim rozmówić bez świadków, bądź jednak pewien, że urządzę wszystko jak najlepiej. Czemu pan nie wezwiesz lekarzy? Albo czemu nie oddasz żony do zakładu umysłowo chorych? — dodał z szczerem współczuciem.

— Pragnę uniknąć skandalu, ale zamierzam jaknajprędzej wrócić z nią do Anglii. Zamieszkamy na wsi, i tam może będzie trochę spokojniejszą!

W tejże chwili wszedł sekretarz Raleig do salonu.

Był on rzeczywiście podpadająco podobny do cara, tak, że Corrigan zdumiał na jego widok.

Percy dał oczami znak lordowi.

— Muszę pana pożegnać, — zawołał Corrigan natychmiast, — przepraszam, że tyle panu czasu zająłem.

— Bardzo mi było miło widzieć pana, — odrzekł Percy uprzejmie. — Może się spotkamy dziś wieczorem, około dziesiątej, w angielskim klubie!

— Przyjdę napewno!

Panowie podali sobie ręce i Corrigan wyszedł.

Percy miał dłuższą rozmowę z swoim sekretarzem, po której Raleig zaraz pałac ambasadora opuścił, aby przygotować wszystko do komedyi, którą miał odegrać dla wyrządzenia przysługi biednemu mężowi obłąkanej kobiety i poczęści całemu wyższemu towarzystwu angielskiemu.

ROZDZIAŁ CII.

Fałszywy car.

Około piątej po obiedzie stała lady Wiktorya przy bramie parku w Carskiem Siole i czekała na cara.

Od następnej godziny zależało życie jej córki i jej własne szczęście, bo jeżeli nie zdoła wzruszyć cara i nie uzyska od niego cofnięcia wyroku na uwięzioną, to wszystko będzie na zawsze stracone!

Ale rozpaczający ma zawsze jeszcze nadzieję, i lady Wiktorya nie wątpiła ani na chwilę, że jej prośba pomyślny odniesie skutek!

Przecież car nie będzie się mógł oprzeć błaganiom matki, i gdy przeczyta jej prośbę, powie jej słowo pociechy! W prośbie swej opisała w krótkich słowach wszystko, począwszy od urodzenia się Józefiny aż do wczorajszej nocy, oskarżając swego męża o popełnienie tych przestępstw!

Nieszczęśliwa kobieta stała tu, drżąca z zimna i szalonego wzruszenia, a car jeszcze się nie pokazywał.

Ach, jaka ona będzie wymowna, jak gorąco będzie go błagać o oddanie jej ukochanej córki......

Nareszcie! W dali dał się słyszeć odgłos kroków i zaraz potem ukazał się na ścieżce mężczyzna, w ciemnym mundurze, z złotą na piersiach gwiazdą.

Wielki Boże, to car! Zbawca!

Stanowcza chwila nadeszła!

Krew zbiegła do serca lady Wiktoryi, w oczach jej pociemniało i zimny pot wystąpił na czoło.

Car zbliżał się wolno. Teraz mogła już wyraźnie rozpoznać rysy jego twarzy.

— Boże! dodaj mi siły! — modliła się lady, i stósownie do rady ambasadora, upadła na kolana.

Car zdawał się być nieco przestraszonym.

— Łaski! Łaski! — krzyknęła nieszczęśliwa kobieta, wyciągając ręce. — Łaski!

Innego słowa nie mogła w tej chwili wymówić.

— Wstań pani, — rzekł car szorstko, — nie jestem przyzwyczajonym do tego, aby mnie ludzie nawet w moim parku prześladowali swemi sprawami. Jak pani mogłaś przestąpić mój zakaz?

— Ach, Najjaśniejszy Panie! Jestem w rozpaczy....

— Wstań pani, — przerwał car, — i powiedz, czego chcesz!

— Przeczytaj Najjaśniejszy Panie moją prośbę, —

szepnęła zalewając się łzami, — ja tam wszystko napisałam — błagam o życie mej córki — którą mi porwano. — O Boże!

— Kto pani jesteś?

— Lady Corrigan!

Car rozłożył teraz arkusz i zaczął czytać.

Lady Wiktorya patrzała na jego twarz, śledząc każdy odcień w rysach cara, jak gdyby pragnęła przeniknąć jego najskrytsze myśli.

Car złożył znowu arkusz i milczał przez chwilę.

— Milady, — odezwał się w końcu, — żałuję cię bardzo, ale rzeczy tej zmienić nie mogę!

Nieszczęśliwa matka zachwiała się.

— Czemu? — jękła na wpół przytomna.

— Dyrektor policyi, Wasyl, opowiedział mi dziś rano wszystko i pochwaliłem jego postępowanie! Na fałszerzy pieniędzy nie ma dość ostrej kary. I nie wiem, dlaczego nie miałbym tak samo ukarać księżnej Bassano, jak prostej wieśniaczki — kto zawini, ten musi za to pokutować, bez względu na położenie towarzyskie.

— Ale moja córka nie jest księżną Bassano, to kłamstwo! Ja też zresztą nie żądam łaski dla niej, tylko sprawiedliwości, zbadania tej sprawy — bo wszystko, co Wasyl mówił, jest kłamstwem!

— Dosyć, milady, nie obrażaj moich urzędników! Oddal się teraz, cierpliwość moja wyczerpana!

— Więc moje dziecko ma być zgubionem! — krzyknęła lady Wiktorya, — zgubionem — na zawsze! To nie możliwe! Najjaśniejszy Panie, zmiłuj się — ach.

I zemdlona upadła na ziemię.

Sekretarz Raleig, on to bowiem odegrał rolę cara, był teraz w największym kłopocie. Żal mu było zostawić tutaj tej biednej kobiety samej, bezsilnej, i już się schylał, aby ją podnieść, gdy w głębi parku błysnęły światła i liczne postacie zbliżały się szybko ku niemu.

— Trzeba uciekać, — szepnął, — inaczej mogłaby się ta sprawa źle dla mnie skończyć!

I szybko zniknął w gęstych zaroślach, otaczających park zamkowy.

Do miejsca tymczasem, na którem zemdlona leżała lady Wiktorya, zbliżył się teraz stary szambelan cara, w towarzystwie kilku hajduków.

— Tam leży ktoś, — zawołał nagle, wskazując na nieprzytomną.

— Tak, — odrzekł jeden z hajduków, — i to — kobieta!

— Nieżywa?

— Nie, tylko zemdlona!



— Uspokój się pani, — rzekł szambelan, -- i zbierz twoje myśli!

— Nabierz wody z fontanny i potrzyj jej czoło! Byleby nie jaka nihilistka! Może udaje zemdloną, a ma w kieszeni bombę dynamitową. Trzeba przeszukać kieszenie....

I mówiąc to, zabrał się rzeczywiście do przejrzenia kieszeni, ale oprócz portmonetki i kilku drobnostek, nic więcej nie znalazł.

Lady Wiktorya wkrótce otworzyła oczy.

— Zgubiona! Moja córka zgubiona! — szepnęła. — Nie ujrzę jej nigdy! O wielki carze, złamałeś serce matki!

— Uspokój się pani, — rzekł szambelan, — i zbierz twoje myśli!

— Gdzie car! — krzyknęła teraz gwałtownie, — zaprowadźcie mnie do niego! On poszedł tam — tam — ja po raz drugi padnę mu do nóg — niech mnie pośle na Sybir — ach, on jest też tylko człowiekiem i musi się nademną zlitować!

— Jakaś obłąkana, — rzekł szambelan cicho do hajduków, zwracając się zaś do lady Corrigan, dodał głośno:

— Czego pani chcesz od cara?

— Gdzie on jest? Ja go muszę widzieć! Jeszcze raz.

— Jakto, jeszcze raz? Czyś go pani raz już widziała?

— Naturalnie, przed chwilą, i rozmawiałam z nim. Prosiłam go o łaskę dla mego dziecka, ale odmówił mi! Zlituj się pan i zaprowadź mnie do niego! Bóg ci to wynagrodzi!

Szambelan, przekonany, że to obłąkana, nie wiedział, co na to powiedzieć.

— Jestem bogata, — mówiła lady dalej, — dam panu sto tysięcy rubli, jeżeli zaprowadzisz mnie do cara, ale zaraz, bo każda minuta jest drogą! Moje dziecko jęczy w kajdanach. — — Panie! Sto tysięcy rubli!

— Wszystkie one rzucają milionami, jak piłkami — myślał szambelan.

— Uczyniłbym chętnie wszystko, co pani chcesz — rzekł łagodnie — ale car wyjechał już do Petersburga.

— Jedź pani za nim!

— Dziękuję panu! Wyprowadź mnie tylko czemprędzej z parku — koło głównej bramy czeka moja dorożka. Sama zabłądziłabym tutaj.

Szambelan podał jej ramie i zaprowadził do powozu, a gdy konie ruszyły, odetchnął swobodnie.

Dzięki Bogu, że pozbył się tej obłąkanej.

Nieszczęśliwa lady Wiktorja tymczasem kazała dorożkarzowi pędzić, ile koniom sił starczy i stanąć koło zamku carskiego. Ach, ona nie przeczuwała, że stała się ofiarą oszukaństwa, które zacny baron Percy kazał popełnić w najlepszej wierze, w chęci oszczędzenia jej niepotrzebnego skandalu! A wszystko to było dziełem wyrodnego ojca, nikczemnego lorda Corrigan.

ROZDZIAŁ CIII.

Recept za pół miliona

Lady Wiktorja opuściła Petersburg i wróciła do Paryża.

Po owej nieszczęsnej rozmowie z carem poznała, że nie ma dla niej nadziei ocalenia córki, i że dłuższy pobyt w Rosyi żadnego nie ma celu.

W Paryżu zamieszkała znowu w swej willi na Polach Elizejskich i przepędzała całe dnie we łzach i rozpaczy za utraconem dzieckiem.

I zwolna zaczęło jej zdrowie podupadać — do tego stopnia, że pewnej nocy musiała garderobiana jej iść po lekarza, a nie znając dokładnie Paryża, zapytała policjanta, gdzie mieszka najbliższy doktor.

— Tam, w tym małym domku — odrzekł policjant — nie wiem jednak, czy on już wrócił.

Służąca pobiegła i zadzwoniła.

Po chwili otworzono okno i cichy, dźwięczny głos męzki zapytał grzecznie:

— Czy do chorego?

— Ach tak! Pewna bogata pani zachorowała — zaczęła służąca, ale doktor przerwał jej natychmiast.

— Zdaje mi się, że nie pytałem, czy bogaty chory czy biedny! Ale proszę zaczekać, ja zaraz przyjdę.

I nie upłynęło pięć minut, a lekarz był już na ulicy.

— Daleko ztąd? — rzekł do służącej.

— Nie, na Polach Elizejskich.

— Jak się nazywa chora?

— Jest to bardzo bogata lady, mnie się jednak zdaje, że u niej więcej dusza i serce chore, niż ciało!

— Może nerwy?

— O, może i to! Moja pani wróciła niedawno z Petersburga, gdzie ją ciężkie nieszczęście spotkało.

— No, no, tak źle pewnie nie będzie. Ale jakże się nazywa ta lady?

— Lady Wiktorja Corrigan.

Doktor stanął jak wryty.

— I to do niej mam iść! — zawołał. — Czy lord pozwolił....

Lorda nie ma wcale w Paryżu!

— Ale on i w swej nieobecności rządzi całym domem?

— Tak — tym razem jednak nie zostawił żadnych dyspozycyi! Ach, moja pani, to anioł prawdziwy, nie ma drugiej tak dobrej, jak ona.

— A lord?

— On się z panią równać nie może! Obawiam się też że moja pani rozwiedzie się z mężem....

— Jest u niej jeszcze panna Diana de Bassano?

— O nie! Ona nie wróciła z nami do Paryża.

— Nie wróciła? Czemu? Opuściła lady Corrigan?

— Tak, ale nie z własnej woli!

— Jakto! — krzyknął doktor przerażony, — czy lady Wiktorja oddaliła ją?

— Nie —

— Więc co się stało?

— Ach, to bardzo smutna historja, i proszę pana, nie wspominaj panny Bassano wobec milady, bo to jeszcze więcej ją drażni i męczy...

—Przecież to taka zacna dziewczyna!

— O tak, i milady kochała ją, jak własną córkę! I z jej właśnie powodu chce się rozwieść z mężem! Bo on podobno przyczynił się do nieszczęścia, jakie spotkało pannę Bassano.

— Co się stało?

— Aresztowano ją w Petersburgu.

— Kto śmiał to uczynić? To być nie może.

— Żandarmi. Było to okropne! Związaną, skneblowaną zniesiono na dół i wrzucono do dorożki — ach, panie doktorze, myślałam, że mi serce pęknie z żalu.

Doktor patrzał na mówiącą, jak gdyby nie rozumiał jej słów.

— Co to ma znaczyć — szepnął. — O cóż ją podejrzywano?

— O fałszowanie pieniędzy, o wiarołomstwo mężowi, o oszukaństwa rozmaite; i za to wszystko skazano ją na całe życie na Sybir.

Tritoni, on to bowiem był owym lekarzem, spuścił głowę i milczał.

— I to z mojej winy — myślał. — Ja kazałem przybrać jej to nazwisko nieszczęsne.

Potem jednak obrócił się szybko do służącej i rzekł z błyszczącemi oczami:

— Spieszmy się! Muszę jak najprędzej zobaczyć lady Corrigan, nie mamy ani chwili do stracenia!

Kilka minut później stanęli na miejscu, i służąca poszła do sypialni lady Wiktorji, aby ją na wizytę doktora przygotować.

Tritoni został sam.

— Lord Corrigan — mówił sobie w duszy — musiał się dowiedzieć o tem, że to jego córka i postanowił ją usunąć. W Rosyi wszystko jest możliwem, tam można przekupić każdego wysokiego urzędnika, a nazwisko Bassano dobrym było pozorem do tego haniebnego czynu! Ale prawdziwa Diana de Bassano musiała rzeczywiście być winną..... Bądź co bądź — trzeba Józefinę ratować!

— Milady prosi pana, — odezwała się w tejże chwili garderobiana.

Tritoni wszedł do sypialni.

Panie doktorze, — rzekła lady Wiktorya słabym głosem, — obawiam się, że dla mnie wiele nadziei nie ma, i przyznam się też szczerze, że nie bardzo mi o życie chodzi! Moja dusza chora....

— Pan Bóg może ją uleczyć, milady, — odpowiedział Tritoni poważnie, — On cuda czyni!

— Boże Wielki! — zawołała chora, podnosząc głowę, — czy ja się mylę — ten głos — ach Bóg już cud uczynił, bo mi przysłał mego najlepszego przyjaciela! Wszakże to doktor Tritoni!

— Tak, milady, to ja! I słusznie nazwałaś mnie swoim najlepszym przyjacielem! Ja zawsze myślałem o pani, i dlatego posłałem ci młodą dziewczynę, w której czy prędzej czy później byłabyś poznała najmilszą i najbliższą sercu twemu istotę!

— Ach! — zawołała lady Wiktorya z płaczem, — miałam ją u siebie, nie wiedząc, kto ona jest, i pokochałam ją z całego serca! A teraz znowu jestem samą — i rozpacz przepełnia moją duszę! Ratuj ją i mnie, mój przyjacielu!

— Przedewszystkiem nie trać pani odwagi, — prosił Tritoni.

— Ja bez mego dziecka żyć nie chcę i nie mogę! Ona tam jęczy w kajdanach. — —

— Uspokój się pani! Trzeba nam myśleć o sposobie ratowania Józefiny.....

— To jej imie Józefina? — przerwała lady Wiktorya. — Nie wiedziałam dotąd nawet, jakie jej właściwe imię!

— Więc aby ją ratować, musisz mi pani wszystko dokładnie opowiedzieć.

— O ratunku mowy nie ma! Kto raz na Sybir skazany, ten też zgubiony na zawsze. Ginęły tam setki i tysiące ludzi! Prosiłam cara o litość — odmówił mi jej, a dyrektor policyi,, Wasyl zbyt jest potężnym, aby mu się kto mógł oprzeć.....

— Wasyl? — zawołał Tritoni. — Czy dobrze zrozumiałem to nazwisko?

— Tak jest, Wasyl. Jest to tyran prawdziwy i ogólnie nazywają go wilkiem petersburskim.

— I wilka można oswoić, — szepnął Tritoni, — trzeba tylko mocnego na niego bata!

— Masz pan — bat — na niego? — zawołała lady Wiktorya bez tchu nieomal.

— Może! Ale użyję go tylko w ostatecznym razie! Zdaje mi się, że chwilowo mamy jeszcze inny sposób ocalenia Józefiny.

— Powiedz pan, jaki! Cały mój majątek poświęcę chętnie na to!

— Zaraz, zaraz, najpierw musisz pani zażyć lekarstwa na uspokojenie nerwów!

Tritoni usiadł przy stoliku, szybko napisał dwie recepty, potem wyszedł do przyległego pokoju i wręczył je garderobianie.

— Proszę iść z tem natychmiast do apteki, — rzekł.

— Będzie milady zdrową? — zapytała wierna służąca.

— Naturalnie!

— Dzięki Bogu!



Lady Corrigan i doktór Tritoni radzą nad uwolnieniem Józefiny.

Tritoni wrócił do chorej i rozpoczął rozmowę o właściwej chorobie, a gdy po upływie dwudziestu mniej więcej minut przyniosła garderobiana lekarstwa, nalał z jednej buteleczki kilkanaście kropli na łyżeczkę i podał ją lady Wiktoryi.

— Tak, — rzekł z uśmiechem, — a teraz będziesz spokojniejszą, milady i możemy mówić o ocaleniu Józefiny.

— Radź pan, bo ja nic nie wiem!

— O co ją oskarżono?

(Ciąg dalszy nastąpi).

POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENÉ BAZIN.

10) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Stary Alzatczyk, trzymający się stale u boku księdza, przerwał ciszę i rzekł, wyciągając naprzód ramiona:

— Słyszę dzwony katedry.

I palcem wskazywał szpiczasty szczyt sławnej wieży strasburskiej, świecącej w oddali barwą ametystu. Teraz, gdy już mogli widzieć wioski, tonące w łunie zachodzącego słońca, zdawało się im, że rozpoznają dźwięki dzwonów.

— Słyszę — odezwał się inny głos — jak dzwonią w opactwie Marmontier. Ach, jakie ładne dzwonienie!

— Ja — zawołał trzeci — słyszę dzwony z Obernai...

— A ja z Heiligensteinu.

Wieśniak, pochodzący z okolic Wissemburga, rzekł:

— Jesteśmy zbyt daleko, ażeby odróżnić dzwony św. Jerzego z Hagueanau... a jednak... słuchajcie teraz..

Stary Alzatczyk powtórzył z powagą:

— Ja słyszę dzwony katedry.

A później dodał:

— Spojrzyjcie jeszcze w górę!

I zobaczyli wszyscy, że obłoki podniosły się jeszcze wyżej, aż do tych warstw atmosfery, dokąd dochodziły promienie słońca. Obłok, bezkształtny na zboczach góry, na niebie rozciągał się ukośnie w kształcie obręczy, przerzuconej ponad doliną i Wogezami. Obręcz ta wydawała się jakby złożoną ze snopów mieczyków; jedne z nich były krwisto-czerwone, inne nieco bledsze, a jeszcze inne miały barwę roztopionego złota. Wszyscy widzowie, zawieszeni między dwiema przepaściami, wpatrzeni byli w ten pas świetlany, który swym odblaskiem rozjaśniał ziemię, uwydatniając odległe domy stolicy i wieżyczkę katedry, blado się rysującą na tle zgęszczonych cieniów.

— Widok ten przypomina mi noc 23-go sierpnia 1870-go roku — zaczął stary Alzatczyk. — Wtedy też byłem tutaj.....

Wszyscy, nawet młodzi, po wiele razy słyszeli już o tym dniu. Spojrzenia ich skierowały się z pewną czułością na ostry szpic wieży, zkąd dochodziło jeszcze nieco światła i dźwięk dzwonów, w które znów uderzono.

— W ów dzień były tu ze mną kobiety i dziewczęta z dolin. Opuściły one swe wioski, uchodząc przed hukiem armat, który się stawał coraz silniejszym. Słyszeliśmy strzały armatnie, jak teraz słyszymy dzwony. Bomby rozpryskiwały się w kawałki, niby race. Nasze kobiety płakały. To była właśnie noc, kiedy spłonęła biblioteka... i nowa świątynia... muzeum obrazów... i dziesięć domów Broglie. Żółto-czerwony dym przysłonił niebo, tworząc obłoki w rodzaju dzisiejszych. Cały Strassburg stał w ogniu, skierowano bowiem przeciw niemu sto dziewięćdziesiąt trzy tysiące granatów.

Jeden ze studentów westchnął żałośnie.

— Bóg ich ukarze! — zamruczał drugi.

Wieśniak zdjął czapkę i trzymał ją pod pachą, nie mówiąc ani słowa. Dźwięki dzwonów były coraz rzadsze. Nie słychać już było ani dzwonów z Obernai, ani z St. Nabor, które zgromadzeni zdawali się rozróżniać. Tony zdawały się gasnąć powoli, niby światła. Noc zapadała.

Dwie kobiety były blizkie płaczu. Wszyscy milczeli. Jan zwrócił się do księdza:

— Księże proboszczu — rzekł — podczas kiedy jeszcze dzwony dźwięczą pieśnią Zmartwychwstania, pomódl się za Alzacyę!

— Dobrze, mój mały, dobrze — rzekł stary Alzatczyk — widzę, żeś nasz!

Znużona, jakby ospała twarz księdza, nagle się ożywiła. W jego drżącym głosie zdawały się dźwięczeć jakieś struny zerwane. Ból dawny, dotąd nie zagojony, poruszał jego ustami. Mówił wolno, patrząc razem ze wszystkimi na Strassburg, ginący w mrokach wieczoru:

— Boże! Oto z wysokości tej świętej góry widzimy naszą ojczyznę, nasze miasta, wioski, pola! Ale, o Panie, i z drugiej strony Wogezów leży ziemia nasza! Tyś pozwolił, że zostaliśmy rozdzieleni na dwie części! Na tę myśl serca nasze krwią się oblewają. Przecież po za temi górami mieszka naród ukochany przez nas, ukochany przez Ciebie. Jest to naród najstarszy ze wszystkich narodów chrześcijańskich, najmilszy Tobie. Najwięcej ma on aniołów w Twym niebie, bo ma najwięcej kościołów i kaplic, najwięcej mogił świętych do obrony, najwięcej prochów błogosławionych, zmieszanych z ziemią ugorów, żywiących jej trawy i przenikniętych jej wodami. O, Panie! Myśmy tyle cierpieli! Cierpiały nasze ciała, nasze dobra; dziś jeszcze cierpimy w naszych wspomnieniach. Spraw, Panie, niech one trwają wiecznie i niech Francya o nas nie zapomina! Spraw, Panie, niech będzie najdogodniejszą przewodniczką narodów! Oddaj jej siostrę utraconą, która tak pragnie powrócić!

— Amen!

— Już wracają dzwony Wielkanocne!

— Amen, amen — powtórzyły liczne głosy męzkie. — Amen.

Inni płakali w milczeniu. W ochłodłem powietrzu, idącem od przepaści, słychać było słaby głos jednego tylko dzwonu. Dziady kościelne musiały już zapewne opuścić dzwonnice, które zniknęły w cieniach, pokrywającycb równinę.

Ponad wzniesionym tarasem obłoki, pędzone ku zachodowi, utraciły już swe żywe barwy. Tylko sam czubek Wogezów objęty był purpurą i fioletem. W ciemnościach nocy ukazywały się gwiazdy, niby pierwsze pierwiosnki, rozpękające w tej właśnie chwili pod osłoną jodeł.

Wkrótce na tarasie pozostały tylko trzy osoby. Inni odeszli, gdy zostały odsłonięte najskrytsze tajniki ich serc.

Stary ksiądz, widząc dwoje młodych ludzi, przytulonych do siebie i głowę Otylii opartą o ramię Jana, zapyta

— Narzeczona?

— Niestety, nie — odparł Jan. — Życzcie, ojcze, aby to nastąpiło co prędzej.

— Życzę wam tego. Bardzoś to dobrze powiedział przed chwilą. Niech Bóg wam da szczęście! Obyście wy, młodzi, doczekali chwili, gdy Alzacya znów będzie francuską!

Z temi słowy opuścił taras.

— Żegnam cię, Janku — rzekła szybko Otylia. — Żegnam!

Ścisnęła jego dłoń i odeszła, nie odwracając głowy.

Jan pozostał jeszcze i oparł się o mur tarasu. Z jednego lasu do drugiego, szeroko rozpostarłszy skrzydła, przelatywały nocne ptaki, sowy, puhacze, orły. W przeciągu kwadransa przynajmniej zmieszane ich głosy rozlegały się na stokach góry. Potem nastąpiła zupełna cisza. Spokój ogarnął pachnące, uśpione lasy.

Koniec części pierwszej.

Część druga.

ROZDZIAŁ VIII.

U Carolisa.

Na rogu ulicy Zurichskiej znajduje się mały domek, frontem zwrócony ku wybrzeżu Przewoźników i stanowiący jeden z najdawniejszych zabytków Strassburga. Domek ten, dużo niższy od sąsiednich gmachów i pokryty dachem o dwóch kondygnacyach, przypomina chińskie pagody. Fasada, niegdyś ozdobiona matowym gzymsem, dzisiaj pokryta jest tylko białym tynkiem, na którym widnieje napis: „Jan, zwany Carolis, winiarnia." Nie jest to bynajmniej zwykły, byle jaki szynk, ale miejsce historyczne, chociaż jego wygląd zewnętrzny niczem nie obudza ciekawości przechodniów.

Mieszkańcy Zurychu, a właściwie najlepsi strzelcy z tego miasta, przybyli tutaj w 1576 roku na konkurs strzelecki, na który Strassburg zwołał całe cesarstwo i stany skonfederowane. Szwajcarowie zabrali ze sobą kociołek z kaszą jaglaną. Po wyładowaniu zauważyli, że kasza jeszcze niezupełnie wystygła i zwrócili na tę okoliczność uwagę Strassburczyków:

— Będziemy wam mogli nieść pomoc w potrzebie, sa-

siedzi — rzekli do nich — przez Ren odległość między naszemi miastami jest bardzo niewielka.

Istotnie, Szwajcarowie w 1870 roku dotrzymali słowa, danego w 1576. Świadczy o tem napis, wyryty na zrębie poblizkiego wodotrysku. Podczas oblężenia Strassburga, kiedy mieszkańcy jego przeżywali najcięższe chwile, rada miasta Zurychu zwróciła się do generała Werdera z prośbą o udzielenie pozwolenia starcom, kobietom i dzieciom na opuszczenie obleganej fortecy — i pozwolenie to uzyskali.

Drugi powód do sławy zdobył sobie ten domek, dzięki Janowi Carolisowi, który przybył z południa, około roku 1860, i założył tutaj winiarnię.

Jan Carolis ogromnie przypominał Gambettę. Wiedząc o tem, naśladował go o ile możności w ubraniu, ruchach, gestach i sposobie mówienia, a nawet w noszeniu brody. Interesy winiarni stały dobrze już przed wojną, ale po wojnie handel rozwinął się świetnie; zgromadzali się przeważnie oficerowie pruscy i spijali świetne czerwone wino, sprowadzone z Cette, Narbony i Montpellier.

W końcu kwietnia wczesnym rankiem Jan Oberle wybrał się do jednego z urzędników administracyi leśnej z dawno obiecaną wizytą. Przechodząc przez wybrzeże przewoźników, zauważył niemłodą kobietę, mniej więcej czterdziestoletnią, ubraną czarno, która wyszła z winiarni, szybko przeszła ulicę i zwróciła się ku niemu:

— Przepraszam pana... może pan zechce wstąpić... jeden z pańskich przyjaciół prosi o to...

— Kto taki? — zapytał Jan ze zdziwieniem.

— Oficer, najmłodszy z tamtych.

I palcem wskazała mu cienie, rysujące się na płóciennej firance okna winiarni.

Jan zawahał się chwilę, ale następnie poszedł za nią.

Nie będąc stałym mieszkańcem Strassburga, nie wiedział, jaką opinią cieszyła się winiarnia i jakich miała stałych gości. Ze zdumieniem więc ujrzał sześciu oficerów pruskich, a między nimi trzech huzarów. Siedzieli przy stołach, nakrytych obrusami w kratki czerwone z niebieskiem, rozmawiali głośno, palili cygara i pili wino.

Jan wszedł ze światła w półcień, ale mimo to zauważył na pierwszy rzut oka, że sala była nieduża. Stały w niej tylko cztery stoły. Ściany ozdobione były obrazami w guście niemieckim. Były tam sceny alegoryczne, małpa, kot, gra w karty, paczka cygar i t. p., ale największą ozdobą sali stanowiło duże, półokrągłe lustro, umieszczone w lewej niszy. Dokoła lustra porozwieszane były fotografie stałych gości winiarni, dawniejszych i teraźniejszych.

Jan nie mógł pojąć, kto z tego zgromadzenia mógł go wzywać, kiedy od stołu znajdującego się u wejścia do lewej sali, powstał młody porucznik. W tym prostym ruchu uwydatniła się cała piękność jego smukłej, kształtnej postaci, ujętej w błękitny mundur ze złotem naszyciem. Przy tym samym stole siedział jeszcze kapitan i komendant. Wszyscy oni robili wrażenie, jakby przed chwilą wrócili z dalekiej drogi — świadczyły o tem ich zakurzone ubrania, spocone czoła i żyły nabrzmiałe na skroniach. Najmłodszy z oficerów przyniósł z tej wycieczki na wieś gałązkę tarniny, którą zatknął za płaską szlifę, bliższą sercu.

Alzatczyk poznał w nim porucznika Wilhelma von Farnowa, o trzy lata starszego od siebie. Widywał go niegdyś w Monachium, kiedy tam był na pierwszym kursie prawa. Farnow służył wtedy jako podporucznik w pułku ułanów bawarskich. Od owego czasu nie spotykali się ze sobą. Jan słyszał tylko, że wskutek jakiegoś zajścia w kasynie między oficerami pruskimi i bawarskimi przeniesiono z Monachium kilku skompromitowanych oficerów i że w ich liczbie znajdował się jego dawniejszy towarzysz.

Nie, niepodobna było wątpić. Był to z pewnością Farnow.

Jan poznał go odrazu po eleganckim, trochę wyniosłym sposobie podania ręki. Tak, była to ta sama twarz, nieco za krótka i spłaszczona, bez brody, o jasnych blond włosach. Wargi jego były dosyć grube, nos mały, lekko zadarty, jakby impertynencki i oczy cudne, stalowo-niebieskie; w oczach tych błyszczała duma młodości, władzy i junactwa. Z budowy całego ciała można było wnosić, że z czasem stanie się on typowym, tęgim, ciężkim kirasyerem.

Dzisiaj jednak był on jeszcze tak smukłym, zgrabnym, zahartowanym, nerwowym, zręcznym w ruchach, że zdobył sobie sławę uznanej piękności, pomimo, że twarz jego nie miała rysów klasycznych. To też w Monachium nazywano go powszechnie „pięknym Farnowem,“ albo „Farnowem Trupią główką.“

W ciężkim kasku, przysłaniającym oczy, z krzaczastemi brwiami i rudemi, zawiesistemi wąsami mógłby być strasznym, ale w dwudziestym siódmym roku życia robił wrażenie nieustraszonego, doskonale wyćwiczonego wojownika, zwyciężającego nietylko inych, ale i swoją własną naturę. Nawet jego wyszukana grzeczność i uprzejmość zdawała się być wyuczoną, sztucznie nabytą.

Jan zauważył, że pan von Farnow, podnosząc się z miejsca, zwrócił się do komendanta i zdawał się coś mu przekładać; komendant, wysoki i pleczysty żołnierz, o sennych, bezmyślnych oczach, skinął głową potakująco.

— Czy pan komendant pozwoli sobie przedstawić mego dawnego towarzysza, Jana Oberle, syna przemysłowca z Alsheimu? — odezwał się von Farnow.

— Bardzo chętnie... Alzatczyk... inteligentny... znany...

Następnie von Farnow przedstawił Jana kapitanowi. Był to człowiek jeszcze młody, o ostrych rysach, starannie wychowany, dumny i wyniosły.

On również nie szczędził pochlebnych wyrazów dla młodego przemysłowca z Alsheimu.

— O, pan Oberle jest bardzo znany... jeden z najświatlejszych umysłów... miałem przyjemność dawno to zauważyć... Pan zechce mnie przypomnieć pamięci pana Oberle...

Jan czuł się upokorzonym względami obu oficerów. Doznawał wrażenia, że był przedmiotem szczególniejszej uwagi z ich strony; on, cywilny, mieszczanin, Alzatczyk — on, który właśnie przez tych dygnitarzy powinien był być uważanym za coś niższego.

— Widocznie działalność mego ojca ma bardzo wielką doniosłość dla kraju — myślał w głębi duszy — jeżeli w ten sposób jest ocenianą. Ani majątek, ani tryb domu nie nadałyby podobnej wziętości człowiekowi, który nie mieszka w Strassburgu i nie zajmuje żadnego urzędu.

W tej chwili komendant lekkiem skinieniem zakończył tę niezręczną sytuacyę. Młodzi ludzie odzyskali swobodę i zajęli miejsca w głębi sali przy najdalszym stole, około okna.

— Istotnie, przypadek tylko zrządził, że spotykamy się tutaj — rzekł Farnow z ironią, w której przebijała się duma pruskiego porucznika. — Pułk mój nie uczęszcza do Carolisa... bywają tu przeważnie oficerowie z piechoty... Co do mnie, chodzę najczęściej do „Germanii“... Ale przed chwilą właśnie wróciliśmy z rekonesansu, jak to już chyba zauważyłeś... komendant mój był bardzo zgrzany... Wybacz mi, kochany Oberle, że posłałem po ciebie.

— Ależ owszem, był to krok bardzo przyjacielski z twej strony... Sądzę nawet, że ci było trochę niezręcznie opuścić swych zwierzchników.

— Chciałem bardzo odnowić znajomość z tobą, nie widzieliśmy się już od tak dawna... od czasów monachijskich... Skoro tylko zobaczyłem cię mijającego róg domu, zawołałem zaraz na służącą: „To jeden z mych przyjaciół! Biegnij czemprędzej i poproś pana Oberle tutaj.“

— Doprawdy, Farnowie, zrobiło mi to wielką przyjemność.

Podczas tej rozmowy obaj młodzi ludzie przyglądali się sobie z ciekawością, jakiej zwykle doznają osoby, które się nie widziały przez czas dłuższy: „Jakie on życie pędził! co myśli o mnie! czy mogę liczyć na niego?“

— Zdaje mi się — rzekł Farnow — że przybyłeś do Alzacyi niedawno?

— Tak, w końcu lutego.

— Mówiono mi w Strassburgu, że od pierwszego października wstępujesz, jako ochotnik, do huzarów nadreńskich?

— To prawda.

— Wiesz, Oberle, że zeszłej zimy miałem zaszczyt spotykać twego ojca w towarzystwach tutejszych i byłem mu przedstawiony...

— Daruj mi, nie wiedziałem o tem, wróciłem do kraju tak niedawno...

Rozmowy przy wszystkich stolikach u Carolisa toczyły się leniwo. Jan zauważył, że obie niebieskie kurtki często się zwracały w ich stronę. I komendant i kapitan badawczo się przyglądali przyszłemu ochotnikowi. Przed nimi stała butelka wina Bordeaux, którą już prawie opróżnili.

— Chciałbym bardzo pomówić z tobą obszernie — rzekł Farnow, zniżając głos. — Sądzę, że będziemy się mogli widywać....

— Czy znasz Alsheim?

— Tak byliśmy tam kilka razy na manewrach...

Widocznem było, że porucznik nie wiedział, jak daleko może się posunąć. Znajdował się w kraju zabranym; przypominały mu to na każdym kroku różne zdarzenia z życia codziennego. Nie chciał już więcej niepewnych prób i badał grunt.... Czy mógł obiecać swoją wizytę? Tego jeszcze nie wiedział. Drażniła go ta niepewność, tak sprzeczna z jego energiczną naturą, a dyplomatyczna ostrożność, którą musiał zachowywać, raniła jego dumę. Hardo podnosił głowę, jak gdyby chciał rzucić lub przyjąć wyzwanie. Jan czuł się zmieszanym. Było rzeczą tak prostą przyjąć u siebie dawnego kolegę, a jednak, w tej chwili kwestya ta przedstawiała się, jako zagadnienie bardzo trudne do rozstrzygnięcia. Osobiście skłaniał się do zaproszenia Farnowa.

Ale czyż pani Oberle i dziadek zgodziliby się na odstąpienie od zasady dotąd tak ściśle przestrzeganej: nie przyjmować w domu dawnego posła opozycyjnego nikogo z Niemców, po za krótkiemi banalnemi stosunkami urzędowemi lub handlowemi. Nie... stanowczoby się nie zgodzili... A jednak Jan doznawał wielkiej przykrości, okazując się w Strassburgu mniej tolerancyjnym, niż był nim w Monachium; nie chciał też przy pierwszem spotkaniu na ziemi alzackiej obrazić młodego oficera, który tak przyjaźnie wyciągał doń rękę.

Dlatego odpowiedział z pewną serdecznością w głosie:

— Odwiedzę cię bardzo chętnie, kochany Farnowie!

Niemiec zrozumiał. Zmarszczył brwi i umilkł. Oczywiście inni odmówili mu nawet wizyty. W rodzinie Oberle nie spotykał dotąd tej nienawiści systematycznej i wyłącznej... Ale gniew jego nie trwał długo, albo też zapanował nad nim umiejętnie.

Na rękojeści szpady zawieszonej u boku położył zgrabną rękę, która w ujęciu robiła wrażenie pęczka stalowych nitek i wyrzekł po chwili:

— Będę ci niezmiernie wdzięczny!

Potem kazał podać butelkę burgunda, napełnił kieliszek i zawołał:

— Za twój powrót do Alsheimu!

Wychylił kieliszek jednym tchem i postawił go na stole.

— Jestem, istotnie, ogromnie zadowolony, że cię odnalazłem. Pędzę życie prawie zupełnie samotne... zresztą ty znasz moje upodobania. Po za mojem zajęciem, które stawiam ponad wszystko z wyjątkiem Boga, najwyższego sędziego, lubię bardzo tylko polowanie. Mojem zdaniem, człowiek jest stworzony po to, ażeby przebiegać szerokie przestrzenie i poddawać swej władzy dzikie zwierzęta, jeżeli nie ma sposobności ujarzmiać podobnych sobie... Dla mnie jest to przyjemność niezrównana... Ale... zdaje mi się, że pana Oberle pozbawiono prawa polowania?

— Istotnie — odparł Jan — ojciec mój zrzekł się tego prawa prawie zupełnie.

— Możebyś zatem zechciał polować ze mną? Wydzierżawiłem około Haguenau las i równinę. Przychodzą tam kozice ze świętego niegdyś gaju, dużo jest zajęcy i bażantów, a czasem przelatują bekasy.... świętojańskie robaczki błyszczą pod jodłami, niby lance moich huzarów.

Rozmowa czas jakiś obracała się dokoła tego tematu. Kiedy wreszcie młodzi ludzie wypili wino, Farnow wyrwał z pod szlify gałązkę tarniny i rzucając ją na ziemię, rzekł:

— Jeżeli pozwolisz, Oberle, odprowadzę cię kilka kroków. W którą stronę idziesz?

— W stronę uniwersytetu.

— Ja także.

Powstali od stołu. Obaj należeli do tego samego typu silnego i energicznego. Obaj byli wysokiego wzrostu, lecz wyraz ich twarzy był odmienny. Zdawało się, że Oberle stara się złagodzić i zmiękczyć surowość rysów i wyrazu twarzy, Farnow zaś chce jakby podkreślić szorstkość swojej osoby. Młody porucznik obciągnął swą kurtkę, wygładzając wszystkie fałdki, wziął z krzesła płaską wojskową czapkę, ozdobioną z przodu małą kokardką o barwach pruskich, i poszedł naprzód, uwydatniając o ile możności sztywność swojej postaci. Zwrócił się ku stołowi, przy którym siedział komendant z kapitanem, i ukłonił się im kilkakrotnie, zaledwie uchylając swą wyniosłą postać. Znikła już pełna szacunku poufałość, która panowała między nimi przed chwilą.

Obaj zwierzchnicy krytycznym wzrokiem obejrzeli wychodzącego porucznika.

Obaj należeli do szlachty, a przytem dbali niezmiernie o honor swego pułku i zawsze mieli w pamięci wszystkie artykuły kodeksu, obowiązujące wzorowego oficera; interesowali się więc bardzo swymi podwładnymi, ich postępowaniem, postawą, ubraniem i wszystkiemi szczegółami, które mogły zwrócić na siebie uwagę szerszej publiczności. Egzamin wypadł przychylnie dla Farnowa, komendant bowiem pożegnał go przyjacielskim, a zarazem protekcyonalnym ruchem ręki.

Zaledwie się znaleźli na ulicy, Farnow zapytał swego towarzysza:

— No cóż? Prawda, że obaj byli wzorowo uprzejmi?

— Tak.

— Jakim ty tonem to mówisz! Więc nie zauważyłeś, że grzeczność ich była uprzedzająca? Ocenisz ją po wstąpieniu do wojska...

— Ależ, przeciwnie, oni nawet byli zbyt uprzejmi — przerwał Jan. — Codziennie się przekonywam, że ojciec mój musiał się upokarzać często i wiele, żeby w ten sposób być traktowanym w wyższych sferach. I to mnie ogromnie rani, Farnowie!

Oficer spojrzał na niego z powagą i odparł:

— O, francuska naturo! Co to za dziwny charakter narodu, który nie może się pogodzić z myślą, że został podbity i wszelkie awanse ze strony Niemców uważa za coś ubliżającego dla siebie!

— To dlatego, że Niemcy nie robią nic darmo — odparł Oberle.

Odpowiedź podobała się Farnowowi.

Wydała mu się czemś w rodzaju hołdu złożonego szorstkiemu i utylitarnemu charakterowi jego rasy. Zresztą młody porucznik nie chciał się zagłębiać w dysputę, w której ich przyjaźń mogłaby być narażoną na niebezpieczeństwo. Z przyjemnością więc złożył uprzejmy ukłon młodej kobiecie, która ich właśnie mijała, i pogonił za nią wzrokiem.

— To żona kapitana Holtzberga — rzekł do Jana — prawda, że ładna?

Równocześnie rzucając okiem na leżące za mostem stare miasto, oświetlone zamglonem słońcem wiosennego poranku, dorzucił:

— Bardzo lubię ten dawniejszy Strassburg, jak gdyby te dwa wrażenia najnaturalniej w świecie zlewały się w jego umyśle.

Po chwili ciągnął dalej:

— Przypomina mi czasy feudalne.

Z drugiej strony rzeki, zanieczyszczonej przez fabryki i zlewy, sterczały ostro pochylone dachy z długiemi oknami. Dachówki mieniły się czerwoną barwą w rozmaitych odcieniach. Średniowieczna purpura Strassburga połatana, podziurawiona, poplamiona, spłowiała, w niektórych miejscach fioletowa, po bokach prawie żółta, gdzieindziej znów różowa, pomarańczowa z rozmaitemi odblaskami, ale zawsze królewska, robiła wrażenie rozciągniętego dokoła katedry cudnego perskiego dywanu o delikatnych zblakłych barwach. Sama zaś katedra, zbudowana z czerwonego kamienia, wyglądała, jak artystyczny model, rozstrzygający o barwie całego miasta; ozdoba, chwała i ognisko Strassburga.

Bocian, szerokim ruchem rozpostartych skrzydeł, wolno przerzynał powietrze; poziomo rozciągnięte nogi ptaka wydłużały jego ciało i służyły za ster; dziób miał nieco podniesiony do góry, niby przód statku. Herbowy ptak płynął z powagą, wierny Strassburgowi, jak wszystkie bociany, które co roku na tych samych kominach odnajdywały swe gniazda, mieszkańcy bowiem strzegli je i ochraniali troskliwie, uważając te ptaki za jakąś świętość.

Jan i Farnow śledzili wzrokiem ulubionego ptaka i widzieli, jak się skierował ku wieżyczce katedralnej, malejąc stopniowo w ich oczach, wreszcie zniknął z widnokręgu.

— Oto mieszkańcy — rzekł Farnow — których nie zadziwia ani dym z naszych fabryk, ani tramwaje, koleje żelazne, świeżo zbudowane pałace, ani wreszcie nowy porządek rzeczy.

— Bo zawsze byli Niemcami — odparł Jan z uśmiechem. — Bociany zawsze nosiły wasze barwy: brzuch biały, dziób czerwony i czarne skrzydła.

— Istotnie — potwierdził oficer, śmiejąc się wesoło.

Poszli dalej wzdłuż wybrzeża. Nagle śmiech zamarł na ustach Farnowa. Od strony nowego miasta zbliżał się ku nim jakiś żołnierz służbowy, prowadzący dwa konie. Właściwie jednak, to konie go prowadziły, był bowiem najzupełniej pijany. Szedł wolno między dwoma czarnemi wierzchowcami, zataczając się co chwila i trzymając w podniesionych rękach uzdy; chwytał się też często za jedno lub drugie zwierzę, żeby nie upaść; konie się usuwały.

— Co to znaczy? — zamruczał Farnow. — Żołnierz pijany! O tej godzinie!

— Zdaje się, że przebrał miarę — rzekł Oberle. — Ale niema on wcale wesołego upojenia.

Farnow nic nie odpowiedział, tylko zmarszczył brwi i pilnie obserwował postawę żołnierza, który już się zbliżył ku nim prawie na odległość dziesięciu metrów. Teraz powinien był, według regulaminu, zmienić krok i zwrócić głowę w kierunku swego zwierzchnika. Winowajca jednak nietylko zapomniał o wszystkich teoryach i z trudnością wlókł się dalej, zataczając się co chwila o konie, ale nawet, wymijając Farnowa, zamruczał coś niewyraźnie, prawdopodobnie jakieś przekleństwo.

Tego już było zanadto. Dreszcz gniewu przebiegł porucznika. Czuł się upokorzonym za całe Niemcy. Podszedł nagle do żołnierza. Wystraszone konie cofnęły się o parę kroków.

— Stój! — zawołał — trzymaj się prosto!

Żołnierz spojrzał bezmyślnie, udało mu się jednak, dzięki niezmiernemu wysiłkowi woli, stanąć nieporuszenie, prawie prosto.

— Jak się nazywasz?

Żołnierz powiedział swoje nazwisko.

— Pijaku! Jutro w koszarach odpowiesz za swoje postępowanie! A dziś masz zadatek za zniewagę munduru!

Wyciągnął prawą rękę i pięścią, ujętą w rękawiczkę, a twardą jak stal, uderzył go z całej siły w policzek.

Krew bryznęła z kątów ust żołnierza; łopatki odchyliły się ku tyłowi, ramiona zbliżyły się, jak przy boksowaniu. Miał, widocznie, szaloną pokusę odpłacić się oficerowi tą samą monetą.

Jan widział, jak pełne bólu i gniewu, błędne oczy pijaka, z taką siłą w tył odrzuconego, zataczały się dokoła swych orbit, w końcu jednak opuściły się ku ziemi, pokonane, prawdopodobnie jakiemś niejasnem przypomnieniem potęgi oficera.

— Idź teraz — zawołał Farnow — i nie potykaj się więcej.

Stał w słońcu pośrodku wybrzeża, elegancki, wyprostowany, o głowę przewyższający swoją ofiarę. Oczy jego ciskały płomienie; gniew wykrzywił kąty ust i powiek. Takim, prawdopodobnie, musieli go widzieć ci, którzy go przezwali „Trupią główką.“

Skinął ręką i natychmiast rozsunęła się gromada gapiów, która, przyglądając się tej scenie, zwartem kołem otoczyła żołnierza.

Ten ostatni przeszedł mimo nich, starając się prowadzić konie, o ile możności, równo.

Świadkowie jeszcze pozostali. Jedni z nich, oszołomieni zaszłym wypadkiem, milczeli. Inni, mrucząc, robili jakieś uwagi. Farnow skrzyżował ręce na piersiach, spojrzał dumnie i odwrócił się od nich z pogardą. Natychmiast rozeszli się wszyscy. Pierwszy wycofał się z tłumu młody subjekt z banku, poprawiając okulary; za nim poszła mleczarka z garnuszkiem miedzianym opartym na biodrze, ona jedna z całej grupy ruszeniem ramion potępiła czyn Farnowa; następnie usunął się rzeźnik z sąsiedniego sklepu; po tym dwaj przewoźnicy, pozujący na obojętnych, pomimo, że zaczerwienione ich twarze zdradzały silne wzburzenie; wreszcie cały tłum uliczników, którzy z początku mieli ochotę zapłakać i trącali się łokciami, a teraz odchodzili z wybuchami śmiechu.

Farnow wrócił do swego towarzysza, który cały czas stał nad brzegiem kanału.

— Zdaje mi się, że poszedłeś za daleko — rzekł Oberle. — Wyraźny rozkaz z góry zabrania podobnych nadużyć... Mógłbyś mieć nieprzyjemność...

— O, to jest jedyny sposób postępowania z pijakami — odparł Farnow, którego oczy jeszcze płonęły. — Zresztą, wierzaj mi, on już oddał mój policzek koniom, a do jutra zapomni o wszystkiem.

Młodzi ludzie szli w milczeniu aż do ogrodu Uniwersyteckiego, rozmyślając o tem, co zaszło.

Farnow zrzucił skrwawioną rękawiczkę i włożył inną; wreszcie odwrócił się do Jana i zaczął mówić głosem stanowczym, w którym dźwięczało głębokie przekonanie.

— Byłeś jeszcze bardzo młodym, mój drogi, kiedyśmy się poznali. Otóż teraz, mojem zdaniem, musimy się porozumieć co do naszych poglądów w wielu kwestyach. Dziwię się jednak, że tak długo przebywając w różnych prowincyach niemieckich, dotąd nie spostrzegłeś, że my jesteśmy stworzeni do zdobycia świata, a zdobywcy nigdy nie są łagodni, ani nawet zupełnie sprawiedliwi.

Po chwili dodał:

— Przykro mi niezmiernie, Oberle, że mój postępek tak bardzo ci się nie podobał, a jednak muszę wyznać, że nie żałuję tego, co zrobiłem. Chciałbym, iżbyś zrozumiał, że podstawą mego gniewu jest nieposzanowanie karności, hierarchii, honoru armii, do której mam zaszczyt należeć.... Nie opowiadaj o tem zajściu w domu, bez dodania powodów.... byłoby to zdradą przyjaciela.... Teraz, do widzenia!

Podał mu rękę, a błękitne jego oczy straciły na chwilę wyraz wyniosłej obojętności.

— Do widzenia, Oberle! Jesteś u drzwi swego urzędnika z leśnej administracyi.

ROZDZIAŁ IX.

Spotkanie.

Jan przybył dość wcześnie na dworzec strasburski i koleją dojechał do Obernai, gdzie zostawił swój bicykl. W drodze z Obernai do Alsheimu zauważył niedaleko od Bernhardsweiler na łące, którą przerzyna Dachs, drugiego bociana, stojącego na jednej nodze.

Zaraz na wstępie powiedział o tem siostrze, którą ujrzał w parku, czytającą w cieniu drzew.

Ubrana była w suknię z szarego płótna, z gipiurową aplikacyą przy staniku.

Usłyszawszy bieg welocypedu, z uśmiechem podniosła od książki swe bystre, rozumne oczy i spojrzała na Jana. On zaś zeskoczył na ziemię. Uściskali się serdecznie.

— Mój drogi, — zawołała Lucyna — jakże mi zawsze ciebie brakuje! Co tam robisz w tych ciągłych podróżach?

— Odkrycia, moja droga siostrzyczko! Przedewszystkiem widziałem dwa bociany, które stawiły się punktualnie na dzień tradycyjny dwudziestego trzeciego kwietnia, jak dwaj rejenci.

Skrzywiła lekko różowe usteczka, wykazując zupełną obojętność dla tej wiadomości.

— A potem?

— Spędziłem trzy godziny w biurach leśnej administracyi, gdzie się dowiedziałem....

— O tem opowiesz przerwała niecierpliwie. — Widzę dokoła tyle drzew snących i ściętych, że nie mam najmniejszej ochoty zaprzątać niemi głowy dobrowolnie. Opowiedz mi lepiej jakąś nowinkę ze Strassburga, opisz jakąś toaletę, albo jakąś rozmowę z kimkolwiek ze świata.

— A, prawda, - zawołał Jan, śmiejąc się wesoło — rzeczywiście miałem spotkanie

— Zajmujące?

— Tak. Dawniejsza znajomość z Monachium, porucznik huzarów....

— Pan von Farnow.

— On sam, porucznik dziewiątego pułku huzarów nadreńskich, Wilhelm von Farnow. Ale.... co to znaczy?

Stali w połowie alei, zasłonięci dużemi krzewami. Lucyna śmiała i wyzywająca, jak zawsze, skrzyżowała ręce na piersiach i rzekła głosem, który starała się uczynić spokojnym:

— To znaczy, że on mnie kocha.

— On?

— I że ja go kocham!

Jan usunął się nieco od siostry, chcąc się jej lepiej przypatrzeć.

— To niemożliwe!

— A dlaczego?

— Ależ, Lucynko, dlatego, że to jest Niemiec, Prusak, oficer!

Zapanowało milczenie. Cios był dobrze wymierzony. Jan pobladł straszliwie, wreszcie dodał:

— Chyba wiesz i to, że on jest protestantem?

Rzuciła książkę o ziemię i podniosła głowę, cała drżąca i przejęta niespodziewanym oporem.

(Ciąg dalszy nastąpi).